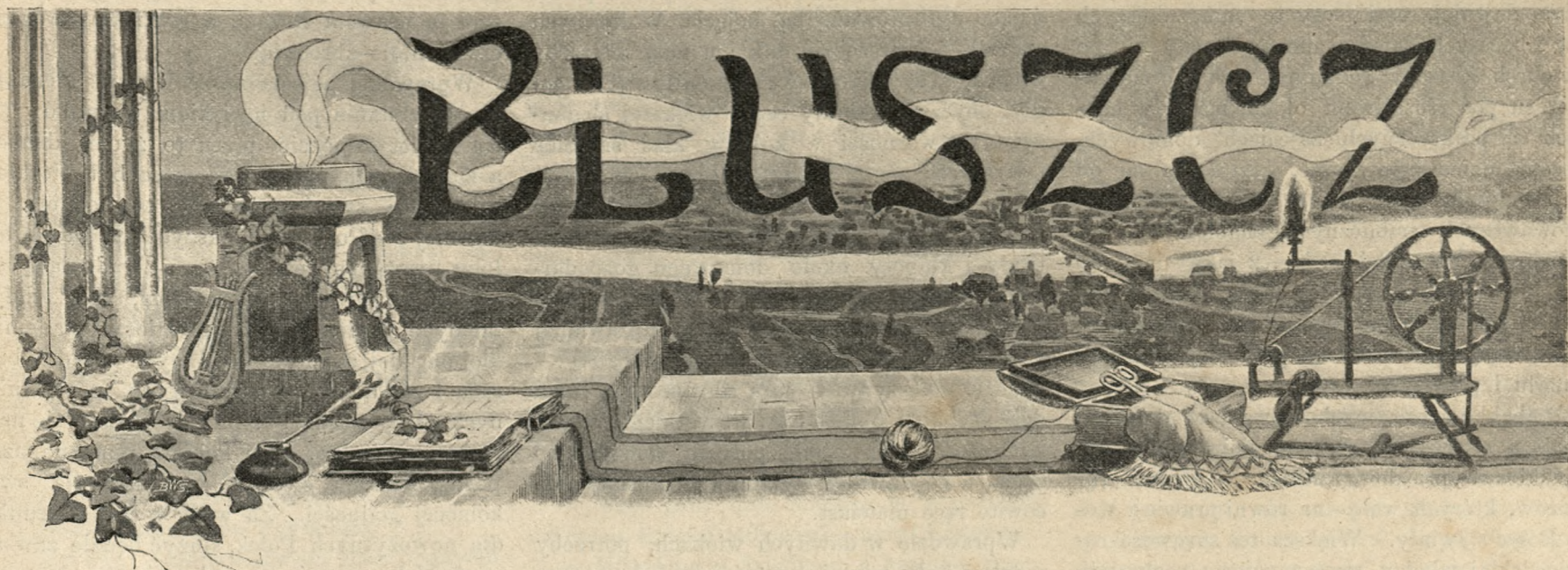




PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantarach pism peryodycznych po cenie rocz-
nie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80
miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50, rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Świat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za
wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwar-
talnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z prze-
syłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebiera i Spół. kwart. 5 marek.

NASZE PRABABKI I MY.



Wiele dziś piszą i mówią o kobiecie, o jej uprawnieniu, wykształceniu wyższem i udziale znaczniejszym, jaki należy jej się w sprawach społecznych. Zdania w tym kierunku wciąż się jednak krzyżują, gdyż jedni pragną uchylić więzy, krępujące kobietę i podnieść jej umysłowy poziom, inni znów przemawiają w obronę zagrożonych niby praw społecznych — ze względu, iż kobieta wykształcona poświęcająca się działalności społecznej, czyli postawiwszy sobie za cel życia tę działalność, nie zechce oderwać się od niej, by zająć się domem i dziećmi. Obowiązki zaś kobiety w rodzinie są tak ważne i święte, mają tak pierwszorzędne znaczenie dla społeczeństwa, iż możemy być dumne tą wyższością — wynoszącą nas po nad cały rodzaj ludzki.

„Cnoty rodzinne są podwalinami, na których buduje się cały gmach dobrze rozwijającego się społeczeństwa“, a naród opiera się na rodzinie, która znów jest „stowarzyszeniem szczęścia“ dla pojedynczych osobników.

Dla doskonałego jednak istnienia narodu potrzeba pewnej sumy tych cnót idealnych noszących miano: poświęcenia, zaparcia się siebie, które podnoszą moralną temperaturę serc ludzkich. Im gdzie cnót takich więcej, tem społeczeństwo jest doskonalszem, drobne zaś a trwałe ziarenka tych cnót, które zasieje w młodocianych duszyczkach dzieci, jeśli nie matka? Gdy jednak obecna kobieta stoi o wiele wyżej od dawniejszej na punkcie umysłowego wykształcenia i szerszych aspiracji, o jakich naszym prababkom nawet się nie śniło, musimy natomiast przyznać, iż tradycyjna postać matrony polskiej coraz bardziej zanika na widowni naszego kobiecego świata,

owej matrony, której ciche domowe i obywatelskie cnoty, zjednywały ogólną cześć i uznanie, nawet po za granicami kraju naszego, otaczając ją tak niezwykłą aureolą szlachetności i niemal świętości, iż każdy z poszanowaniem głowę przed nią pochylał.

Czy dziś łatwo spotkać postać podobną? taką, która jedną stroną ducha swego hartowna i mocna, w pracy swego narodu zajmowała uczciwe miejsce, jako dzielna pomocnica męża, drugą zaś — cicha, skromna, pełna poświęcenia i kobiecej tkliwości, jaśniała nie przez spryt i blask salonowy, lecz przez moc swego charakteru i słodycz uczucia?..

Któż nie zna z opisu, tradycyi i podań rodzinnych, tego typu pani — w dworach i dworach szlacheckich żyjącej, której treścią życia był dom, zagon ojczysty i gorące przywiązanie do rodziny!

Matką ona była w całym znaczeniu tego wyrazu, nie tylko dla najbliższych swych i czeladki, lecz również dla tych wszystkich, którzy jej opieki, rady i miłosierdzia zapotrzebowali. Wiedziała ona o każdym najdrobniejszym czynie otaczających ją jednostek i umiała wywierać na nie wpływ dobroczynny przez siłę swego uczucia, takt i powagę w postępowaniu.

Przy licznych zajęciach swoich około zaspakajania domowych potrzeb — własnymi środkami domowego przemysłu, znalazła jednak zawsze czas na odbywanie praktyk religijnych w gronie swych domowników, oraz na spieszenie z pomocą tam, gdzie jej potrzebowano. Żadna modlitwa poranna lub wieczorna, nie obeszła się bez niej, jako przewodniczącej w domowym kółku, a dzwonek wzywający na tę modlitwę wspólną, ją pierwszą zwabiał przed domowy ołtarzyk. Czy to sędziwa, czy młoda pani domu, pilnie strzegła tego prastarego zwyczaju, jednocześnie mo-

dły swoje z modłami czeladki i wnikając w dusze ich i serca.

Uboga ludność wiejska gdzieś znalazła radę i oparcie w chorobie lub strapieniu, jeśli nie u pani swej a opiekunki, pamiętającej zawsze, by domowa apteczka pełną była środków, usmierzających cierpienia fizyczne, serce zaś czułe i otwarte dla niedoli bliźnich!..

Jakże różnym od tego patryarchalnego, pełnego ciepła stosunku dawnych dworów wiejskich z ludem — jest dzisiejszy; jak obojętnym a często wrogim ze stron obu! Ileż daje się słyszeć narzekania i zniechęcenia do „podłych chamów“ w ciemnocie swojej postępujących często nieuczciwie, czyniących szkody różne w dworskich łąkach, lasach i zasiewach. Czyż my prawe córki rodzinnej ziemi naszej a prawnuczki z krwi i kości dawnych matron polskich, czujące się wyższymi umysłowo, duchowo, sercem i urodzeniem od szarego tłumu młodszej braci naszej, nie powinniśmy starać się zaradzić złemu przez zbliżenie się, wniknięcie w potrzeby materyalne i moralne prostaczków i małuczków, oraz okazanie im szczerzego zainteresowania się naszego i sympatyę? Tym sposobem możemy tylko wywierać wpływ dodatni na te ciemne masy, których charaktery przy wielu złych, mają i wiele dobrych pierwiastków. Tam też, gdzie dwory wiejskie za pośrednictwem pań i panienek utrzymują przyjacielski stosunek z bracią wiejską, gdzie postępują według maksymy: „miej serce i patrzaj w serce“, tam lud nasz wyodrębnia się gotowością oddania dobrem za dobre, swą przychylnością dla dworu.

„Inne czasy, inni ludzie“ — mówimy zwykle na obronę naszą, w słowach tych wyrażając niezbitą prawdę, gdyż z biegiem czasu i zmianą warunków ekonomicznych kraju, ludzie również ulegli zmianie. Przedewszystkiem system wychowania kobiet dzisiejszych

jakże się różni od dawniejszego! Gdy bowiem dawniej, córki czy to zamożniejszych czy uboższych domów, nie wychylały się poza obręb strzechy rodzinnej, ćwicząc się zawczasu pod troskliwym okiem matki w enotach i praktycznych zajęciach domowych, obecnie dziewczęta nasze, kształcące się od najmłodszych lat swoich, w zakładach wychowawczych publicznych, nabierają owej śmiałości i pewności siebie, z jaką dążą do samodzielności i szerszych dróg czynu i wolać: idziemy za postępem czasu! przemocą zdobywają stanowiska na polu nauki, sztuki, handlu i przemysłu.

Prababki nasze, wychowywane w prostocie ducha i obyczajów, głęboko pojmowały obowiązki swe przede wszystkim względem rodziców, których wolę — na równi prawie z wolą Boga stawiały. Większa też surowość rodzicielskiej władzy, wyższe pojęcie posłuszeństwa i poszanowania dzieci dla rodziców, połączone z względami na ród i jego potrzeby, sprawiały to, że dawniej kobieta w wyborze małżonka nie mogła się radzić głosu swego serca, lecz najczęściej szła za zdaniem i wolą rodziców lub opiekunów, a choć to serce jej rwało się nieraz z bólu i tęsknoty za ukochanym i wymarzone, choć obraz jego głęboko w duszę się zarył, umiała jednak każda nakazać milczenie swemu uczuciu i iść za tym, którego jej wybrano i przeznaczono. Od dziecka bowiem, mówiono jej o „powinności“ a nie o „prawach do szczęścia“, więc też to szczęście swoje składała w ofierze na korzyść rodziny, w sumiennym pełnieniu swych obowiązków żony i matki znajdując cel życia i zadowolenie.

Dawniejsze kobiety bardzo młodo — dzieckiem prawie wychodziły zamaż i mąż zazwyczaj dokańczał niejako wychowania żony, nadając dowolny kierunek jej poglądom na świat i życie, oraz przywiązując serce jej po ślubie dopiero do siebie, co dziś byłoby trudnem, gdy panny wchodzące w związki małżeńskie

są starsze wiekiem, świadomsze życia i posiadające ugruntowane już pojęcia. W obecnych czasach, jak wszędzie, tak i u nas, potrzeby życia ludzi cywilizowanych zmieniły się wzmożły, obyczaje nabrały cechy większej elegancji i wytworności a kobiety klas średnich i wyższych, przez nietrafne często wychowanie — zdelikatniały na zdrowiu, tak, że im wszelka cięższa i mozolniejsza praca, wszelkie trudy i kłopoty około domowego gospodarstwa, wydają się nad siły. W skutek tego wszystkie prawie gałęzie pracy uprawianej z takim pożytkiem przez nasze prababki — upadły. Maszyny i para dostarczają nam dziś szybko i obficie tego wszystkiego, co jest konieczne do opędzenia potrzeb codziennego życia, a co dawniej wykonywać musiały pracowite ręce niewiast.

Wprawdzie w dawnych wiekach, potrzeby rodziny były więcej ograniczone i łatwiejsze do zaspokojenia, nie miano bowiem pojęcia o tem, co dziś postęp cywilizacji i przemysłu wytwarza i daje nam, nie mniej przeto pożyteczna działalność kobiet w gospodarstwie domowym jest nieodzowną i może zapobiedz zwłaszcza na wsi — wielu upadkom ziemianiskich fortun.

Nasze prababki, najbogatsze nawet panie, których mężowie zajmowali wysokie stanowiska w hierarchji społecznej, znały się doskonale na kuchni i wszelkich sekretach w zakresie gospodarstwa kobiecego wchodzących; wiedziały o najdrobniejszych jego szczegółach, same zarząd domu w swych rękach trzymając i pilne a baczne oko dając na wszystko. A jednak, pomimo iż zajmowały się tak porządnymi rzeczami, czy to im ujmowało choć trochę z tej dostojności im tylko właściwej, opartej na głębokim poczuciu godności osobistej i czystości obyczajów?

My, kobiety czasów obecnych, porwane falą nowych postępowych prądów i swobodą obracania się samodzielnie w życiu, mniej liczymy się dziś z opinią świata, niż nasze po-

przedniczki, dla których ta była obowiązującym ją prawem Bożem, a wykroczenie przeciwko niej — zbrodnią.

Wprawdzie pojęcia nasze w tym kierunku uległy zmianie pod naciskiem warunków życia kobiet samotnie przez to życie idących, a zmuszonych wywalczać sobie byt niezależny, pracą swą i zabiegami; to bowiem, co dawniej według zasad naszych prababek byłoby uważane za rzecz niezgadzaną się wprost ze zdrowym rozsądkiem, jak: studya młodych panien wśród młodzieży akademickiej męskiej, zajmowanie różnych posad w biurach i zakładach przemysłowych, przepełnionych płcią męską i t. p. dziś wydaje się nam rzeczą naturalną, o ile kobieta umie nakazać postępowaniem swoim szacunek dla swej kobiecej godności. Za wzór w tym kierunku dla nowożytnych Polek, służyć będzie zawsze staropolska niewiasta, gdyż karty historii naszego narodu ściśle się z nią wiążą i pełne są wspomnień o jej życiu prawem, szlachetnem i czynnem. Poświęcając się dla dobra rodziny, bliźnich, lecz surowem okiem matki sądząca ich czyny, cicha gołębica wobec męża — była ona tytanicznej siły i odwagi istotą, broniącą swego gniazda w nieobecności małżonka oddanego na usługi publiczne, a ta dzielność charakteru, głęboka religijność, tliwość serca i wdzięk kobiecości, czyniły po wszystkie czasy słynną kobietą polską.

My więc — połączwszy naszą obecną inteligencję i swobodę czynu, z przymiotami prababek naszych, umiejmy podnosić sławę kobiety polskiej. Niech nie zanika typ naszej starodawnej matrony, niech nam zawsze przyświeca i służy, jako wzór do naśladowania!

M. Rolicz-Staniecka.



PRZY KOMINKU.

(Pogawędka).



Wiadomo, że wszelką rozmowę najskładniej jest zaczynać od... pogody.

Wchodzi gość, ręce zaciera; jeżeli jest mróz na dworze, mówi, że zimno, jeżeli jest upał, o gorącu zawiadamia. Później rozmowa może przejść na temat najfilozoficzniejszy, ale początek jej bywa prawie zawsze jednaki.

Mogę się wyłamać z pod tego ogólnego zwyczaju, tem bardziej, gdy w nagłówku czernieje napis: „Przy kominku?...“ Wprawdzie, że człek przy tym starym towarzyszu nie koniecznie dla rozgrzewki zasiada, że staje się milczącym słuchaczem jego szeptów tajemniczych, wyznań płomiennych, marzeń błękitnych, nawoływań iskrzących, szmerów przedziwnych z minionych lat, z rozbitych światów przynoszonych — i łatwo jest zapomnieć, siedząc przy gawędziarzu takim, że mróz się

iskrzy na dworze, że ludzie gdzieś marzną, bieda do czyichś drzwi kołace, a biedy tej nie mało, a tak nie wiele środków do jej zaradzenia. Ogromna klęska powodzi, która dotknęła kraj nasz roku ubiegłego, dopiero teraz w całej swej okrutnej grozie się przedstawia. Głód i zimno — to są najstraszniejsze dwa widma, czarną płachtą wiejące nad słomianymi strzechami chat wiejskich; wiadomości otrzymywane z niektórych okolic, zalanych wodą w roku zeszłym, są wprost przerażające; gdzie nie gdzie tyfus głodowy już swoje panowanie rozpociera, dusz-pasterze, dbający o owieczki swoje, czynią, co mogą, by klęsce zapobiedz, ludzie dobrej woli spieszą z pomocą, ofiarność społeczeństwa nie ustaje, ale dopiero statystyka wskaże, o ile nieszczęściu zapobiedz się potrafiło. Sienkiewicz dał inicjatywę do objazdu z odczytami braci literackiej miast Królestwa, i — jak wiemy z dzienników — objazdy te niebawem cieszą się powodzeniem. Sale odczytów czy widowie teatrów prowincjonalnych są przepełnione publicznością. Trzy rzeczy złączyło się na one zainteresowanie się ogółu naszego: cel filan-

tropijny, pragnienie zapadłych kątów prowincji do wzięcia żywszego udziału w życiu ogólnem społeczeństwa — i sam Sienkiewicz.

Możnaż się temu dziwić?...

Weźmy np. Suwałki. Oddalone od środowiska ruchu umysłowego, rzucone prawie na kraniec kraju, same sobie wystarczać muszą, zasklepić się we własnym życiu towarzyskiem, widzieć jedne i te same postacie, [słyszeć jedne i te same słowa, żadnej silniejszej podniety z zewnątrz nie mając. Zdaje nam się, że żywego słowa, wypowiedzianego publicznie, oddawna nie słyszały; panowie zaś z Warszawy przywykli dość lekko traktować „prowincję“, nie fatygując się, ażeby z nią serdeczniejszą zabrać znajomość, żywem słowem do niej przemówić, własnem rozgrzać ciepłemuwzajemną wymianą myśli senne rozbudzić umysły, poznać i bliżej dać się poznać. Dopiero potrzeba było klęski powodzi, inicjatywy Sienkiewicza, ażeby przebić ten mur przez nas samych dobrowolnie wystawiony, ażeby na ścieżaj drzwi się otwały, przez które ożywczy przepłynąłby powiew. Cóż więc dziwnego, że pod stopy autora „Trylogii“ posy,

WNUCZKA.

NOWELLA.



(Ciąg dalszy).

Nazajutrz do Kaliniec przybył Kończyc. Nie dziwiono się temu zbyt, gdyż częstym był tam gościem. Jakoż przybył późnym wieczorem i zastał Karę w salonie, bawiącą się z czteroletnią dziewczynką Kalinieckich, Irutą. Mała wybiegła naprzeciw niego z wyciągniętymi rękoma, wołając:

— Pan Zygmunt psyjechał!

Kończyc wziął małą na ręce i zapytał swym pięknym, melodyjnym głosem:

— Iruta kocha pana Zygmunta?

— Kocha... — odpowiedziała bez namysłu dziewczynka.

— I kogo jeszcze Ira kocha? — nalegał znowu.

— Pana Zygmunta kocha i Karę.

To mówiąc, objęła drobną rączką szyję Kończyc, a drugą wyciągnęła w stronę Kary. Wtedy on szybkim ruchem pochylił głowę, jak gdyby chciał na czole Kary złożyć pocałunek.

Ciemna fala krwi spłynęła jej do twarzy a w oczach pociemniało z oburzenia.

— Co pan... właściwie... myśli o mnie... — rzekła przerywanym głosem, cofając się ku ścianie.

A on, wciąż pochylony nad jej czołem, mówił dalej głosem stłumionym:

— Co myślę? oto, że jesteś ślicznym dzieckiem, że bezustannie myśleć o tobie muszę, żeś mi miła, jak żadna inna...

Ale Kara odzyskała przytomność.

— To się pan myli, sądząc, że jestem tylko ślicznym dzieckiem, a myśleć o mnie ciągle nie ma powodu, bo pan mnie nawet znać nie może, widząc mnie dopiero po raz drugi w życiu...

Patrzył w ziemię smutnymi oczyma.

Na ten widok serce jej zamierało w piersi. A przecież ona także widziała go po raz drugi w życiu, a czuła, że pamięci o nim nie wyrwie z serca, póki jej życia stanie.

— Przepraszam panią — rzekł wreszcie Kończyc, całując ją w rękę.

Odtąd nie zbliżał się więcej do niej w poufale sposób, jednak szukał bezustannie jej towarzystwa.

Pewnego pięknego wieczoru towarzystwo przeszło do parku. Kalinieccy z miejscowym proboszczem siedzieli w altanie, podczas gdy Kara z Zygmuntem przechadzali się po alejach parku.

— Więc pani stale mieszka w Warszawie, od czasu śmierci rodziców? — pytał Kończyc.

— Mieszkam z dziadkiem i kształcę się.

— Patent daje pani szczęście? — rzekł.

— Zadowolenie... — poprawiła.

— Muzyka zapęla pani życie? — ciągnął dalej Kończyc.

— Trzeba czemś wypełnić czas i coś ukończyć w życiu... — odparła posępnie.

Nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał Kończyc:

— A gdy się w życiu nie ukończyło, co wtedy?

— Wtedy jest pustka, nic, życie marne, które wkrótce znuży...

Kończyc uśmiechnął się smutno i rzekł:

— O nie, pani, kiedy się coś ukocha ponad wszystko, wtedy nie ma pustki, ale za to jest zawód, a potem tęsknota...

— Być może, a jednak wtedy dopiero życie jest coś warte...

— Pani kochała kiedy? — zapytał Kary.

— Nie... — odparła krótko.

Spojrzenie jej dziwnie było jasne, jak gdyby mówiło: „Patrz, na życiu mojem nie ma skazy i nigdy nie będzie...”

Karze się wydało, jak gdyby mgła jakaś przysłoniła piękne oczy Kończyc.

— Jam kochał wiele razy... — rzekł cicho, — nie potępiam za to...

Spojrzała na niego pogodnie.

— Panu żal przeszłości? — spytała.

— Często żałuję tego, co sam chcąc utraciłem...

Zamknął na chwilę, a potem mówił dalej:

— Żałuję i tego, że w życiu nie zrobiłem nic dobrego... żem nieraz gotował cierpienia i zawody...

Kara słuchała w skupieniu. Przypuszczała teraz, że życie Kończyc nie wiele było warte, ale z drugiej strony, miała to przeświadczenie, że duszę miał dobrą, jeno zaniedbaną. Coś odtrącało ją od tego człowieka, którego życie w jej szlachetnej duszy nie mogło budzić szacunku, ale zarazem czuła, że mimo to z każdym dniem stawał się jej droższym, dlatego, że bądź co bądź ta dusza jego była smutną, a tem samem jej blizką.

Tymczasem dalsze rozmyślanie przerwała zdążająca za nimi pani Kaliniecka.

Wrócili we trójkę do altany i rozmowa stała się ogólną. Wzrok Kary często napotykał tęskne spojrzenie młodego człowieka, które zdawało się mówić Karze wiele rzeczy, nie wypowiedzianych dotąd.

A jej się wydało, że te spojrzenia, które mi zdawali się sięgać nawzajem do głębi duszy, że była to jakby niteczka niewidzialna, mogąca stać się nicią mocną i trwałą, co dusze ludzkie spaja z sobą na zawsze.

Pani Kaliniecka częstemi sam-na-sam Kary z Zygmuntem wielce była zaniepokojona. Znała Kończyc, wiedziała, że był sławnym bałamutem, że umiał podbijać serca, jak nikt inny, że najrozmaitszymi sposobami potrafił prędzej czy później pozyskać miłość każdej kobiety, na której mu zależało.

Postanowiła więc ostrzedz Karę.

Jakoż zastała ją w pewien pogodny ranek stojącą w otwartym oknie swego pokoju,

pały się kwiaty, że każde wejście jego powstaniem i hucznymi witano oklaskami?

Byłoby źle, gdyby było inaczej, bo cośby zamarło w duchu społeczeństwa naszego, nad którym złowrobnny sen płaszczy swój rozciągnął. A jednak stała się rzecz niesłychana: ów zapal, owe kwiaty, owe oklaski nazwano „Świętem Filistrów...“, a wyznajemy z bólem serca, że artykuł pod tym tytułem pojawił się na szpaltach tak poważnego pisma, jakim jest „Ogniwo“. Autor artykułu, p. St. Wąsowski, wyraża swoje niezadowolenie z powodu serdecznego przyjęcia, jakiego doznaje Sienkiewicz, a zapomina o celu tych literackich wycieczek, o tej pomocy dla nieszczęśliwych. Słusznie też powiada „Gazeta Polska“, dając należyty p. Wąsowskiemu odprawę: „Mogliśmy nie pisać o tem, gdyby nie to, że w tym wypadku mamy przed sobą nie tylko mniej więcej znaną już z „Głosu“ „teorię Sienkiewicza“ i jego wielbicieli, ale coś takiego jeszcze, co jest od tej teorii poważniejsze i szkodliwsze, a mianowicie: rażący brak instynktu społecznego.“

Dziwne, jak ta sława Sienkiewicza spokoju

nie daje mniej sławnym; jak ich kołą róże rzucane pod stopy autora „Trylogii“, — i jeszcze dziwne!... gdy Niemcy nam kradną Kopernika i Stwosza, Francuzi twierdzą, że Skłodowska, prócz nazwiska, nie w sobie nie ma polskiego — my z passją jakąś, zdzieramy laury z głów naszych zasłużonych, chcemy koniecznie do ogólnego obniżyc ich poziomu, klaszczemy w dłonie, gdy ciekaw jakiś dostrzeżemy na nich. Prawda, że niewielu jest Świętochowskich, którzy umieją uczyć ludzi, z krańcowo nawet przeciwnych obozów.

W dzień jubileuszu Pługa, największym hołdem, jakiego doznał stary jubilat, był pokłon autora „Duchów“. Ale na taką bezstronność, na takie uznanie mogą się zdobyć tylko wielcy umysłem i sercem. To też Świętochowski w olbrzyma urósł, a laur na jego czole świetniejszym tylko blaskiem zajaśniał.

Ale, zaiste! dziwne się u nas rzeczy dzieją. Mówimy wciąż o postępie, bijemy wciąż taranem myśli nowożytnych w zapleśniały mur ciemnoty, narzekamy na ogólną biedę społeczeństwa, na jego bezradność i nieumiejętność dawania sobie rady z ciężkimi warun-

kami życia; znaną jest bieda uczącej się młodzieży naszej, tej podpory przyszłości; wiemy o wypadkach, nierzadkich, niestety! że student, kończący wydział np. medyczny, mający za mało, a lepiej, nie mający żadnych środków do życia, bez możliwości dalszego kształcenia się w raz obranym przez siebie zawodzie: jak za studenckich czasów, zarabiać musi i nadal — korepetycyami na jakie takie utrzymanie. Pierzchają marzenia, jakimi żył podczas swych studiów uniwersyteckich, staje przed nim groźne, twarde oblicze rzeczywistości. Pomoc społeczeństwa, ofiary, jakie składa dla uczącej się młodzieży, nie zapobiegają w zupełności tej biedzie studenckiej, urywają się zresztą z chwilą, gdy z dyplomem w ręku student opuszcza progi uniwersytetu. Ukazuje się potrzeba samopomocy, dająca możność nie tylko skończenia nauk, lecz i swobodniejszego rozejrzenia się po świecie.

I oto, w celu wydobycia się z tej nędzy gniołającej, z pięknym zamiarem wytworzenia próby zrzeszenia się młodzieży na polu pracy ekonomicznej — kilku studentów politechniki

wciągającą pełną piersią świeże poranne technienia.

Dwie te kobiety serdecznie były do siebie przywiązane, ale pojęciami swemi tak dalece się rozchodziły, że często zrozumieć się nie mogły. Jedna, zadowolona z siebie i ze świata, nie tęskniła nigdy za czemśkolwiek, co przechodziło zwykłą, pospolitą miarę, nie mogła umysłem swym, dość ciasnym, objąć wyjątkowej duszy tej drugiej, która przebywając często w świecie poezji, pojęcia miała wysubtelizowane a w której sercu, mimo pozornej wesołości, wieczny trwał smutek.

— Niech cioteczka siądzie, — rzekła Kara, zamykając okno.

Pani Kaliniecka siadła i badawcze spojrzenie utkwiała w twarzy dziewczyny.

— O czym myślałaś, Karuszek? — spytała Kaliniecka.

— W tej chwili myślałam o panu Kończycu... — odparła spokojnie Kara.

Pani Kaliniecka nie przypuszczała, że rozmowa taki upragniony dla niej weźmie obrót.

— Moja droga — zaczęła tonem macierzyńskim, — poczuwam się do obowiązku ostrzedz ciebie, żebyś była ostrożna w postępowaniu swem z Kończycem, bo lękam się, że...

— Że co? — przerwała Kara.

— Że się w nim zakochasz, — dokończyła Kaliniecka.

Kara nie zmieszła się tem wcale, jeno spytała:

— A cóżby cioteczka w tem widziała złego? Toć tyle panien się zakochuje, a następnie wychodzi za mąż... Niema tu nic niestosownego, pan Kończy jest niezależnym, a i ja mam majątek...

— Cóżby w tem widziała złego? To byłoby nieszczęście! Ty nie znasz Kończycy, on bałamuci każdą, ale ożenić się nie zechce — chybaby dla Uszycy...

Ale Kara, chcąc przerwać dalsze wynurzenia ciotki, rzekła uspakajająco:

— Niech się cioteczka nie obawia!...

Ale nie wiadomo było do czego to odnosiła, czy do jej zakochania się w Zygmuncie, czy też mniemanego ożenku Kończycy dla kariery...

Więcej tego przedmiotu już nie poruszały. Pani Kaliniecka dlatego, że ostrzegłszy raz Karę, sądziła, iż obowiązkowi swemu uczyniła zadość, Kara zaś dlatego, że podobne rozmowy męczyły ją niesłychanie.

— Jak oni mogą pojąć i zrozumieć taką duszę, jak dusza Zygmunta!... — myślała sobie Kara. — Czy ci ludzie zajęci zawsze sprawami małymi i codziennymi, wiedzieć mogli, czem Kończy był dla niej, i czem ona stać się mogła dla niego?

I oni mierzą ich zwykłą miarą, mają Kończycy za przeciętnego bałamuta, posadzając go bogatym ożenkiem chce zrobić karierę!... Jak bardzo wydali się jej w tej chwili małoduszni!

Oni nie wiedzieli, że w sercu ludzkim istnieje jeszcze inne światy, światy myśli, uczuć, po których człowiek odbywa dalekie, duchowe wędrówki, a w których pojęcie o zrobieniu dobrej partii maleje tak dalece, że zupełnie istnieć przestaje...

* * *

Wizyty Kończycy w Kalińcach również były częste i długie.

Jakoż razu pewnego zdarzyło się, że Kara i Kończy znaleźli się sami w obszernym Kalinieckim salonie. Zmierzch wieczoru wiskał się do dużych pokoi, a z nim razem, zdało się, — jakby niewidzialna tęsknota wkraadała się do salonu. Kończy zwiesił głowę i zdawał się nad czemś namyslać — i ona także snuła rozmyślenia — może o tem, co stanie się z nią wtedy, gdy jej niebawem przyjdzie rozstać się z tym, który stał się połową jej duszy...

— Jak długo zostanie pani jeszcze w Kalińcach? — zapytał pierwszy Kończy.

— Jeszcze tydzień...

— Jeszcze tydzień! — powtórzył pośpiesznie. — A potem?

— Potem — już mnie tu nie będzie...

— Czy pani nie żał ztąd wyjeżdżać?

Uczyniła nadludzki wysiłek, aby pokonać wzruszenie, i wreszcie wyrzekła głosem, na który trudno jej było się zdobyć:

— Nie. Tam mam swój cel, i pracę, i dziadka, który tęskni za mną, tu — nie mam nikogo...

Nastała chwila ciszy, która trwała dość długo, wreszcie Kończy zapytał głosem tak cichym, że ledwie dosłyszalnym:

— To nie kochasz mnie, Karuszek?

Jej się wydało, jakby cały świat zakręcił się przed nią. Patrzyła w przestrzeń osłupiałym wzrokiem, nie wiedząc, co począć z sobą, nie mogąc się zdobyć za żadną cenę na przemówienie jakiego bądź słowa.

Wtedy nagle Kończy osunął się przed nią na kolana i rzekł głosem tłumiącym wzruszenie:

— Czy ty wiesz, że życie moje jest smutne, że mając tak wiele, wiele szczęścia, ja nie byłem szczęśliwym...

— Wiem o tem... — odparła cichutko.

A on mówił dalej:

— Ty masz duszę białą, jak śnieg, a w mojej przeszłości tak mało dni jasnych... ale nie potępiam... Jam wiele kochał, ale nigdy nie byłem szczęśliwym... byłem podziwiany, otoczony blaskiem, ale w głębi duszy wiecznie samotny... jam poszedł na bezdroża, bo nie wiedziałem, że są takie duchy jasne... Karuszek czy może mnie kochać? Ja ciebie tak szalenie, tak bezgranicznie kocham!...

Splotła swe ręce o długich, wysmukłych palcach na jego szyi i z nieopisaną słodyczą patrzyła w jego oczy.

A potem, jak gdyby powzięła postanowienie jakieś, wstała nagle i patrząc wciąż w jego dziwne oczy, rzekła złamanym głosem:

— Nie mów mi o miłości... odejdz lepiej o de mnie dziś, zaraz, zanim zapłatasz los-

łożyło w Warszawie sklep spółkowy z materiałami piśmiennymi. Zdawałoby się, że czyn podobny tylko okłask zyskać powinien i bezwarunkowe poparcie wszystkich bez wyjątku. Gdzie tam! protesty odezwały się i strofowania, a jak dziwnie brzmiące. Oto „Niwa Polska“ gani sklep studencki w imię: *poezji życia*. I choć rzeczony pismo nie wątpi, że żadna praca nie hańbi, lecz „kupieństwo to taki zimny, taki dyabelnie prozaiczny fach dla tych, w których przyzwyczailiśmy się widzieć poezję młodości, poezję życia.“ Piękne to są słowa, lecz one ani nakarmią, ani ogrzeją. Poezja młodości bez podstawy materialnej w dyabelnie przykrą prozę zamieni się szybko, nie obędzie zaś jej wcale z uroku sprzedawanie materiałów piśmiennych, przeciwnie, zdobyte powodzenie, grosz uczciwie zarobiony, nie rozwieje, lecz przydłuży poezję życia, ochroni od wielu trosk i upadków, da możność poezję snów w poezję życia zamienić.

Dziwny nam się wydał ten „dyabelnie“ naiwny wyskok „Niwy“, ale wprost w zdumienie nas wprowadziło sekundowanie „Prawdy“,

słowa groźną tajemniczością tchnące: „Prędzej czy później trzeba będzie wyjaśnić rolę munduru studenckiego za stołem sklepowym.“ A nam się zdało, że to się tak prosto *wyjaśnia*, ot, ciężkimi nad wyraz warunkami życia, przymieraniem z głodem, koniecznością samopomocy i samoobrony. A *mundur* studencki? ależ nie skala go uczciwy zarobek przy ladzie kupieckiej, który mniej jest przyjemnie widziany w tingel-tanglach, niż w sklepie, a przecie nie mówimy nic o *wyjaśnieniu* jego roli w tych *café-chantantach*... To też słusznie tym pismom odpowiada „Gazeta Polska“:

„Gdyby młodzi politechnicy postanowili wspólnie, dajmy na to, grywać teatr amatorski, albo czytywać wiersze, rozległby się ogólny aplauz, choć ani społeczeństwu, ani tej młodzieży nie wieleby z tego przyszło; ale że postanowili zrobić próbę wspólnej pracy praktycznej, zaprawiającej ich do życia i dającej im podstawy do samopomocy koleżeńskiej — bije się na alarm w imię poezji i godności munduru.“

Tymczasem sklep studencki z materiałami

piśmiennymi rozwija się dobrze, młodzież wesoło się kręci koło lady kupieckiej, mundury błyszczą i zachęcają do wejścia, poezja życia patrzy przez rozpromienione oczy, poezja młodości rozsnuwa dalej marzenia coraz śmielsze.

Błąka się wieść wśród murów Warszawy o budowie nowego teatru dramatycznego. Nasza „Rozmaitość“ nie odpowiada już ani potrzebom blisko milionowego miasta, ani dzisiejszym wymaganiom estetyki, wygody i bezpieczeństwa. Nasz teatrzyk nie dla dzisiejszej Warszawy był dobry. Chodzą dziś jeszcze do tego przybytku Melpomeny, ale go zwą „buda“, „brudasem“, — chodzą, lecz cora z większą niechęcią na obliczach teatrowi czów widnieje.

To narzekanie ogólne jest dowodem, że potrzeba nam nowego przybytku sztuki, odpowiadającego wszystkim a słusznym wymaganiom miast wielkich. Brak jednak odpowiedniego miejsca w Warszawie na gmach piękny i w całym znaczeniu odpowiadający przeznaczeniu swojemu — nie mały szkopol stanowi w urzeczywistnieniu zamiarów. Warszawa

moje w swe życie... Przywykłeś brać szczęście i rzucać je, nieraz może deptałeś po łzach i zawodach ludzkich... ja nie potępiam cię za to, wiem, że duszę masz niepospolitą, że szukałeś czegoś wyższego, niż powszedniości życia...

Milczała chwilę, a potem tak mówiła dalej:

— Ja kocham ciebie, Zygmuncie, ale widzisz — ja nie chcę, aby kiedyś... gdy prysznie miłość twoja ku mnie... abym ja wtedy była dla ciebie jednym z tych wspomnień, których masz w życiu bardzo, bardzo wiele...

Ale on jej przerwał:

— Prawda, że kochał dotąd wiele razy, jam zdradzał, jam zawodził, jam kłamał, ale teraz, o Karuszek moja, ty będziesz odtąd jedynym mem wspomnieniem... ty mnie wyrwiesz z koła złudy i kłamstwa, ty mi zgotujesz to szczęście, którego daremnie szukałem lat tyle...

— Zygmuncie, ja tak kocham ciebie! — szepnęła w upojeniu, — ty nie wiesz nawet o tem, że ja ciebie kochałam już dawno, dawno, nie znając cię jeszcze...

Tu ją opowiadać, jak wiele dni jej zeszło z myślą o nim, jak tęskniła doń bezwiednie, jak dusza jej odrazu leciała ku niemu, ledwie go ujrzała...

W miarę, jak mówiła, on piękną twarz swoją przybliżał do jej twarzy, i złożył długi, przeciągły pocałunek na jej czole.

Cofnęła się nagłym ruchem. Jej nikt dotąd tak nie całował...

Ale on padł przed nią na kolana i począł całować jej stopy.

— To ty nie ufasz swojemu Zygmunto- wi? — zapytał z żalem.

Więc wyciągnęła ku niemu ręce, a on uchwycił je obie, przyciągnął ją do siebie i w najwyższym uniesieniu począł całować jej usta...

Wtedy ona nie broniła się więcej, bo serce jej przepełnione było nie tylko miłością, ale wzbierała w niej ufność ku temu człowieko-

wi, którego z bezdroży, czyste, idealne uczucie ku niej, zdawało podnosić ku wyżynom...

Halina Ada.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dwa cienie.



Przez drogę moją pustą i bezludną
Przez pól jałowych bezmierne przestrzenie,
Po których błądzić tak mi dzisiaj trudno
W obszar nieznany — w głuszę i milczenie
Idą dwa cienie...

I gdy mi smutki serce biedne krwawią,
Serce, co próżno tęsknic żarem płonie —
One nademną wyciągają dłonie
I, zda się, ręce mojej błogosławia.

I szarą przedzą osnuwając serce,
Sieją w niem ziarno swe — zobojętnienie
I cichy spokój po życia rozterce,
Rozkosz mi dają wieczną — snu milczenie
Dwa wiernie cienie...

Nie wiem, czy chcą mi tak zaprawić duszę,
Bym już nie nie czuł, nie płonął tęsknotą
I zapatrzone w zórz wieczności złoto
Zwolna zapadał w wielkich grobów głuszę...

Wiem, że ich widok spokojem mnie darzy
I w smutne serce wlewa ukojenie
Ciszę umarłych mają na swej twarzy,
Apatję — noce bezgwiezdnej milczenie
Dwa moje cienie...

Achl te dwa cienie, te wizye, co duszę
Koją, gdy mi ją obląka tęsknota —
Co ją w apatii grają zawierusze:
To są: Moc Śmierci — i Nicość Żywota...

Tadeusz Kończyc.

HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpińską.



(Ciąg dalszy).

Gdyby jakiś duch czy geniusz mającego stać się narodu mógł wybierać sobie przyszłą ojczyznę, minąłby w swym locie krainę olbrzymich gór i wód, w dary natury przeobfitą, bo tam wszystko nadmiernie wybujałe, nie dałoby życiu ludzkiemu rozkwitnąć w harmonijnem umiarkowaniu. Z ponad Himalajów leciałby po za grzbiety Alтая, gdzie nieprzejrzane czarnoziemne przestrzenie, żywiczne bory i futra puszyste, i kopalne skarby nieprzebrane. Ale tam kłają ostre kły zimy, surowość natury pęta ręce. Pierwsze gniazdo za miękkie, drugie za twarde, aby się w niem piskłę hodowało należycie. Afryka znów żarem ziejąca, mózg rozmięcza i energię wysysa, a środkowa Europa na samo trzebieenie puszczy i osuszanie bagien zużyłaby tysiąc lat dzielności plemienia. Na całym stałym lądzie to za gorąco, to za zimno, to za bogato, to za ubogo dla urobienia bez straty drogiego czasu, bez marnowania liczących pokoleń prawidłowego typu człowieka.

Aż oto zabłąkitniała szyba Śródziemno-morska, a dookoła rozzieleniły się jej pobrzeża. Okrainy południowej Europy, zachodniej Azji, północnej Afryki po nad istmami i ciąsinami podały sobie ręce, rozkwitając pośród obszarów starego świata, jakby okrężny korowód jego cór najmłodszych, nie imponujących przepychem, nie obciążonych klejnotami, lecz przez matkę naturę zasobnie zaopatrzonych, a ozdobionych wdziękiem, wabniejszym, niż piękność wspaniała. Po nad tą szybą przeleciałby zwolna geniusz przyszłego narodu, a wszystkie jej obrzeża mu-

się nie buduje, lecz zabudowuje. Ogrody i ogródki znikają, nowe powstają ulice, nowe gmachy kamieniczne, ale żadnego nowego placu nie mamy, żadnego przestronnego rynku, na którymby nie tylko monumentalny gmach jakiś mógł wznieść się, lecz skromny wodotrysk nawet albo pomnik, choćby dla takiego Chopina. Tymczasem potrzeba nowego teatru dramatycznego coraz konieczniejszą się staje. Już raz powzięto niefortunna myśl zbudowania teatru w dziedzińcu byłego pałacu Brühlowskiego, choć zasłoniłoby się przepiękny fronton tego gmachu z czasów Saskich, zniszczyłoby się bramę stylową; choć wąskość pod kątem prostym przecinających się tam ulic, tamowałyby w szkodliwy sposób ruch powozów i nie zabezpieczała przechodniów od bolesnych wypadków. Zdaje się jednak, że myśl zbudowania tam teatru *ad calendas graecas* odłożoną została. Lecz oto otworzyły się place po szpitalu Dzieciątka Jezus, na których już tyle kamienic i Filharmonia zbudowane zostały. Cóż z tego! rozkupiono szybko place, stają domy dochodowe, mur przy murze, przestrzeni dla teatru

zda się, że już niema całkiem. I zapanowała cisza o nowych „Rozmaitościach.“

Aż oto wieść popłynęła, być może, że zwykła ploteczka miejska, iż na olbrzymim placu po dawnych budynkach fabrycznych „Union“, przy ulicy Marszałkowskiej ma stanąć nareszcie gmach nowego teatru. Ba! gdyby ta wieść była prawdziwa — wtedy przyklasnąć możnaby było. Wielka szerokość ulicy Marszałkowskiej pozwalałaby wygodnie rozmijać się pojazdom, przy rozszerzaniu się zaś miasta, przy jego parciu się w stronę Mokotowa, który nie dziś, to jutro w granice Warszawy wejść musi, teatr przy ulicy Marszałkowskiej otoczony trójkątem ulic: Marszałkowskiej, Hożej i Nowo-Wielkiej — byłby prawie środkowym punktem miasta, przepięknej zaś ulicy Marszałkowskiej przybyłaby nie mała ozdoba, a już i kościół Zbawiciela wieżami wystrzeliwać zaczyna i nowo-budujące się kamienice coraz odświeżniejsze szaty biorą. Nie wiemy tylko, o ile tej wieści, z kądes przybliżanej, wierzyć można.

Musimy teraz z Warszawy skok zrobić aż do Rzymu, gdzie zrodziła się myśl założenia

polskiej Akademii artystycznej. W sprawie tej przytaczamy następującą odezwę, podpisaną przez prezesa, p. Teodora Rygiera:

„Wybitnie rozwijający się ostatnimi laty ruch artystyczny w społeczeństwie polskim, chlubnie świadczy o silnym rozwoju najmłodszego pokolenia. Młodzież nasza w zwartym szeregu, z zapalem wdiera się po stromej ciernistej drodze sztuki, pragnąc przebojem dopiąć jej szczytów. By rozwinać i wysubtelnić ideał piękna, dążą ku środowiskom Zachodniej kultury, gdzie kształci się w trudzie i znoju, często o chłodzie i głodzie. Marzeniem artystów całego świata jest najszersze i najpotężniejsze ognisko piękna — Rzym. Wieczne miasto, od dwóch tysięcy lat dziejące berło sztuki, jest nie tylko wielkim skarbem arcydzieł ludzkiego geniuszu, ale po dziś dzień gorącą kuźnią talentów, zewsząd idących ku złocistym jego murom, ożywcza krynicą natchnień dla budzących i preradzających się duchów artyzmu. Odezuły to i zrozumiwały ludy romańskie, a po nich germańskie, bo niosąc pomoc spragnionym Rzymu artystom swoim, założyły własne akademie,

snawszy pieściwem skrzydłem, na jednym z nich — u wschodniego kresu — przypadłby miłośnię do ziemi, bo na całym świecie nie znalazłby odpowiedniejszej ojczyzny dla normalnego rozwoju zbiorowego człowieka.

Te marmurowe białe skały i mirtowe ciemne gaje na tle szmaragdowych, podmalowanych słonecznym złotem krajobrazów, te miodorodne podgórza i łęgi mlekodajne, to kryształowe powietrze i ta błękitna pogoda i wśród wystrzępionych, jak ozdoba frendzla brzegów spienione języki morskie, wlizujące się w głab łądu, jakby rydwany dla pańskiej wygody pod krążanki podjeżdżające, a za niemi brukowany płynnym lazulitem Boży gościniec w świat daleki — łącznik narodów — morze, to Hellada.

A że nie przyszli tam z dzikich stepów lub puszczy ponurych tępi płaskonosy lub złośliwi kosoocy, tylko z wyżyny światłego Eranu ci jasnowłosi i modroocy ze szlachetnie prostą linią czoła, więc taka płonka, na takim pniu zaszczepiona, musiała wydać nie co innego, jak owe soczyste owoce, które dotąd rozkoszujemy się nawet my — smakosze prerafinowanej kultury.

Opatrznościowość społeczna łuk napięła, determinizm dziejowy poniósł strzałę w koniecznym kierunku, a strzała utkwiała w punkcie, wskazanym przez palec, który trącił cięciwę.

Jakże tacy ludzie, którzy wynaleźli klasyczne piękno, transcendentalizm i republikę, traktowali kwestyę kobiecą?

Kwestya kobieca nie istniała w Grecyi, jako paląca teza, podana społeczeństwu do rozwiązania i wywołująca namiętne dyskusye słowem i piórem, ale istniała faktycznie i życiowo i niejednokrotnie przejawiała się czynnie, przebywając także różne swoje fazy czy okresy.

Na początku, w dobie państwowego kształtowania się Grecyi, zdawałoby się mogło, że

kulturalność mężczyzn i kobiet będzie się rozwijała równolegle; było wiele przykładów kobiet nie tylko ukształconych, ale uspołecznionych, a nawet czasem wojowniczych. Okres ten możnaby nazwać „Saficznym“, bo słynna Safona z Lesbos nie była oderwanem zjawiskiem, lecz tworzyła szkołę, miała przedwiestnice, współczesnice i następczynię. Ale przyszła doba politycznego wzrostu państw greckich, długich wojen i ořeźnej świetności, a wtedy kobieta, redukowana coraz ściszej do specjalności rodzenia rycerzy, zamykana coraz ciasniej w gyneciach, stawała się coraz bardziej bierną i bezmyślną. Po tym okresie, nadającym się do zamianowania „gynecjalnym“, gdy wszechstronny rozkwit Grecyi stanął na kulminacyjnym swym punkcie, i gdy — jak zwykle w takiej fazie dziejowej — zjawily się pierwsze symptomy rozkładu, a mianowicie rozluźnienie obyczajowe, te z kobiet, które wyszedłszy z karbów moralności, miały stanowisko niezaszczytne, lecz samodzielne, skorzystały z niezależności, aby sięgnąć po umysłowe równouprawnienie. Nie jedna z nich zasłynęła mężkiem ukształceniem, miały salony, które stały się klubami literatów i artystów, w których wytwarzano prądy, style i nastroje, nakoniec otwierały szkoły filozofii i wymowy, wyrabiały Peryklesów, kształciły Sokratesów. Był to okres „heteryzmu.“

Przyjrzyjmy się najpierw okresowi Saficznemu:

Okres ten, którego punkt kulminacyjny — Safo i jej szkoła poetycka — leży przy samym już końcu, początkiem swym sięga czasów mitycznych.

W greckich podaniach bohaterskich z czasów przedhistorycznych i w mitologii właściwej, znajdujemy wiele materiału do wnioskowania o położeniu helleńskiej kobiety

w najdawniejszej dobie istnienia państw greckich.

Że podania te są albo przez pół, albo całkowicie bajecznymi, to nie przeszkadza prawdziwości lub prawdopodobieństwu wniosków. W charakterystyce bowiem rzeczy obyczajowych chodzi nie o autentyczność faktów, lecz o typowość obrazu pojęć, zwyczajów, obyczajów, w którym stosunki są prawdziwe, chociaż odmalowane zmyśleniem.

Grecka mitologia, z niezrównaną plastyką rzeźbiącą postacie bóstw, z nieporównanym artyzmem malująca tło, na którym one występują, daje nam doskonały obraz życia, myśli i czynów ludzi, których wyobrażenia stwarzała te bóstwa na podobieństwo własne. Mężkość i żeńskość tych postaci, stosunek ich do siebie i cechy charakterystyczne, dają nam miarę pojęć Greków pierwotnych o męskości i kobiecości, odnośnie do siebie i o kobiecości wziętej osobno.

Stosunek wzajemny bogów i bogiń polegał na zupełnej prawie równości. Przewaga i powaga mężka w tem tylko tkwiły, że akcyą twórczą i wynikającą z niej pierwszeństwo stanowiska przynależało osobnikom męskim. Uranus — symbolizujący niebo, czyli pierwotny materyał i Chronos — symbol czasu, który rodzi i umarza, czyli kształtuje i przetwarza, nakoniec Zeus, ojciec bogów i ludzi, są postaciami rodzaju męskiego. Ale obok nich stoją małżonki; nie służebnice bezwolne, lecz osobistości bardzo indywidualne: żona Uranusa, ziemia, bez której współdziałania niebo nieby nie wytworzyło; żona Chronosa, mędrsza od niego, gdyż go wyprowadza w pole, podstępem zapobiegając pożeraniu przez niego potomstwa; nakoniec Hera, towarzysza władcy świata tak samodzielna, że bez anachronizmu możemy ją nazwać emancypowaną. W żadnym mycie ani wzmianki o jej uległości małżeńskej, natomiast w bardzo

w których miejsca są najwyższą nagrodą, tęsknotą serc młodych. I te akademie już obchodzą uroczyste stuletnie rocznice swojego istnienia — i są dobrą opatrnością rodaków. Tylko my, Polacy — równie płomienni w miłości dla sztuki — nie mamy tam własnej świątyni!... Ale czas i na nas przychodzi! W łonie rzymskiej kolonii polskiej myśl się zrodziła i oto ma się urzeczywistnić. Zawiazało się grono ludzi jednym pragnieniem przejęte, jedną ideą spojone — i dąży do ściśle wytkniętego celu, a tym celem: polska Akademia artystyczna w Rzymie! Akademia w najszerszym pojęciu tego wyrazu, uposażona w następujące instytucje: 1) bezpłatny „pensjonat“ dla utalentowanych artystów; 2) wzorowe pracownice z wszelkimi środkami do studyów; 3) wieczorna sala rysunkowa, t. j. sala aktu akademickiego; 4) doborowa biblioteka dzieł z zakresu sztuki i archeologii; 5) czytelnia pism polskich i zagranicznych; 6) sala zebrań dla ziomek przebywających stale lub czasowo w Rzymie. Oto myśl od kilku lat błakająca się wśród kolonii polskiej — teraz wybija godzina czynu.“

Myśl piękna — daj Boże powodzenia!

Tymczasem u nas na powodzeniu Włochom

nie zbywa. Mają głos, zbierają pieniądze oklaski, wieńce, hołdy uznania — ale dla czego wraz z tym wszystkim niektóre niewiasty nasze godność swą rzucają tym spiewakom z Italskiej krainy pod nogi — to doprawdy nie łatwo zrozumieć. Smutno się robi, gdy się pomyśli, jakie przekonanie o kobietach naszych Anzelmiowie i Battistiniowie wyniosą. Czy wam, panie! na chwilę myśl do głowy nie przyszła, że staniecie się przedmiotem drwin, opowiadań, upokarzających waszej czci niewieściej, gdy ci panowie do ojczyzny swojej powrócą i w gronie rodziny, znajomych czy przyjaciół, będą mówili o warszawskich tryumfach swoich? Czy te panie, wyrrywające chustki z rąk Anzelmięgo, szarpiące za poły fraka Battistiniego — ni razu nie poczuły palących rumieńców wstydu na policzkach swoich?.. czy ni razu im w myśli nie przedstawił się ich własny obraz odbity w duszy tenora czy barytona?.. Przedstawcie sobie ten kontertekcik — a wstrząśnięcie się z oburzenia... „Jako — on myślał...“ — spyacie same siebie. Tak — moje panie — to właśnie pomyślał... Nie zapominajcie, że wszystko można bezkarnie stracić — krom wstydu.

W tej chwili przysłało mi książkę Ignace-

go Matuszewskiego p. t. „Twórczość i Twórca“. Nie jestem krytykiem przysięgłym, w przygodnej kronice nie mogę o tym dziele doskonałym rozpisywać się, jeno zachęcić chyba szerokie koło czytelników „Bluszczu“ do zapoznania się z tą książką wagi nie mającej. Pomijam tu doskonałą charakterystykę pisarzy takich, jak Żeromski, Reymont, Weysenhoff lub Daniłowski, lecz nikt lepiej nad Matuszewskiego nie zrozumiał zagadkowego geniuszu Słowackiego, nie odczuł piękna jego utworów, nie wyjawil nam logiczniej dzisiejszego jego podboju w świecie poezji naszej, tej wzniosłości, która, choćby była niezrozumiana przez nas, przynosiła nas potęgą swoją i każe ukorzyć się przed siłą poezji Juliuszowej; nikt tak nie wykazał zagadki czaru przepięknych strof Króla Ducha — nie rozebrał tęczy jego piękności, gromowych błysków, błyskawicznych migotań. Poznajcie to dzieło — a dziwnie wam się w duszach rozjaśni, bogatsi będziecie o jeden dukat czystego złota.

Kazimierz Gliński.



wielu—opowieści o jej dumie i zazdrości, o mściwości względem zaszczytanych przez Zeusa chwilą łaski ziemianek, o bojaźliwym ukrywaniu się przed nią z temi epizodami gromowładnego małżonka. I tyle na tle ich małżeńskich legend i epigramatów, wykazujących zupełne lekceważenie przez jejmość Herę owego zmarszczenia brwi, przed którym drżał cały Olimp i ludzkość cała, że musimy logicznie dojść do wniosku, iż gromowładny u siebie w domu był tem, co wulgarnie nazywamy pantoflem.

A samo przez się rozumie się, że malowidło takiego stosunku nie było przez poetów z palca wyssane, lecz że kądzieli na tę przedzę dostarczały im częste przykłady, zaczerpnięte z obserwacji życiowej.

Małżonka zatem grecka z najstarszej doby—z doby powstawania mytów, tak, jak ją widzimy mitologicznie przechowaną w zdjętej z niej na model dla bogiń odbitce,—to istota silna i samoistna, zajmująca wprawdzie stanowisko hierarchicznie podporządkowane małżonkowi, ale życiowo najczęściej niezależne, a faktycznie czasem pierwszorzędne.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Niedobre stadła.



Zamażpójście jest zadaniem kobiety. Zostać żoną i matką, kapłanką domowego ogniska—to najszczytniejszy cel, do którego dążą i dążyć powinny wszystkie kobiety.

Pomimo tysiącznych przysiąg zwolenniczek feminizmu, że najzupełniej obejść się mogą bez mężczyzn—śmiemy jednak z całą stanowczością twierdzić, że nawet najbardziej zapalone feministki chętnie pójdą do ołtarza... jeżeli im się nadarzy sposobność.

Wieleż to kobiet, głoszących, że tylko wiedzy łakną, że nauka wypełni im życie całe—na pierwszym kursie uniwersyteckim szło do ołtarza z niebrzydkim i posiadającym trochę grosza, kolegą! Powiecie, czytelniczki, że to przesada, a jednak moglibyśmy przytoczyć wam niejedną taką „miłośniczkę wiedzy“ z imienia i nazwiska.

My jednak za złe im tego brać nie możemy, o ile naturalnie w rachubę nie wchodziły względy czysto materyjalne.

O tych to względach pragniemy pomówić trochę i zwrócić na nie szczególną uwagę czytelniczek.

Małżeństwo—to nie transakcyja handlowa, którą w każdym czasie zerwać można, o ile okaże się niedogodną.

Małżeństwo jest instytucją społeczną, uświęconą Sakramentem i—jak przynajmniej w kościele katolickim, nierozzerwalną.

Istnieją wprawdzie przyczyny, mogące spowodować unieważnienie małżeństwa—przeprowadzenie jednak takiej sprawy połączone jest z tysiącem trudności, nieraz nie do zwalczenia. Dla osób zaś niezamożnych uzyskanie unieważnienia małżeństwa jest prawie nie-

podobieństwem ze względu na znaczne koszty procesu.

Rozerwać zaś małżeństwo właściwie (mówimy o kościele katolickim, a i w innych wyznaniach nie jest to zbyt łatwe) nie nie zdoła. Nawet tak zwana śmierć cywilna małżonka, nie daje pozostałej żonie prawa wstąpienia w powtórne związki małżeńskie, o ile pragnie pozostać nadal w wierze katolickiej; daje jej tylko w razie życzenia separacyę.

Nie naszą rzeczą jest wyrokować, czy tak, jak jest, dobrze jest lub źle. Zaznaczamy tylko, że bez wątpienia ułatwienie akcyi rozwodowej spowodowałoby rozchodzenie się małżeństw dla zbyt błahych przyczyn, na czem najwięcej ucierpiałoby dzieci, które przecież nie są nic winne niesnaskom, jakie wyniknąć mogą pomiędzy rodzicami.

Czyż może być coś straszniejszego dla dziecka—jak rozejście się rodziców?

Za jakie winy pozbawione zostaje ciepła rodzinnego ogniska; dlaczego w samym zaraniu życia każą mu cierpieć i tak wcześnie pić gorycz z życiowej czary?...

A jednak czasem takim piekłem dla kobiety jest pożycie z mężem, obcym dla niej zupełnie, z którym prócz dziecka nie ją nie łączy, żadna spójnia duchowa—że rozrywa więzy, zbyt ciężkie dla niej, by je dźwigać mogła przez całe życie. Czy takie kobiety należy potępić?

Zazwyczaj zabierają dziecko i idą w dalszą drogę życia, złamane na duchu—jak te ptaki, co zbłądziły w drodze i bezsilne nie wiedzą, dokąd dalej lecieć.

Nikt im dłoni przyjaznej nie poda; ci, co wczoraj mienili się być przyjaciółmi, dziś odwrócą się z wzdurliwym uśmiechem.

Ludzie nie rozumieją innych przyczyn zartu pomiędzy małżonkami, niż niewiarę małżeńską.

Chęć plotkowania i obrzucania błotem bliźnich, która stała się prawdziwą plagą naszego społeczeństwa, tak silnie zakorzeniła się wśród nas, że nie wyrzekniemy się za nie w świecie rozgłaszania *urbi et orbi* tajemnic alkowy małżeńskiej, wymieniając nawet nazwisko tego „trzeciego“, który miał jakoby dopomódz mężowi w zaniebawianych przez niego obowiązkach małżeńskich. Będziemy rozgłaszali, nie mając żadnych podstaw, żadnych poszlak nawet do upatrywania w cichej tragedyi—skandalu, ot tak dla zabawki, dla rozerwania nudów sensacją!

A że tam czasem jakieś serce pęknie z żalu, nie mogąc przenieść tak bolesnych, a nieuzasadnionych oskarżeń—to przecież nie wielkiego!

Będzie temat do nowych komentarzy, do nowych opowieści, że „niewierną“ zabiło porzucenie jej przez kochanka...

Każda kobieta rozchodząca się z mężem narażona jest na tysiące pocisków, tysiące zarzutów, tem boleśniej, im bardziej czyta jest i nieskalana.

Ot, nowy rzekomo skandal, omawiany szerego na szpaltach wszystkich pism europejskich: córka pretendenta do tronu hiszpańskiego Don Carlosa księżna Alicya Schoenburg-Waldenburg—jak głosiły wieści—uciekała z swym kochankiem stangretem, który miał być pięknym ognistym Włochem i na-

zywać się Emilio Materni. Ponieważ siostra księżnej Elwira rzeczywiście żyje w Medyolanie z malarzem Folchim, tem więcej przeto uwierzono pogłosce, zamieszczając nawet wiadomość, że Don Carlos wyparł się córki, rozsełając zawiadomienie, iż uważa ją za umarłą.

Tymczasem wszystko to okazało się wietrzną bajką.

Księżna bawiła na Rivierze pod Nervi i tam ją odwiedził zamieszkały w Warszawie brat jej, książę Jaime de Bourbon, a następnie udała się do Drezna, gdzie w wyższym sądzie krajowym tamtejszym rozpoczął się proces rozwodowy, wytoczony przez księżną małżonkowi, z którym pożycie było wprost niemożliwe. Książę Schoenburg Waldenburg trawił czas wyłącznie na pijatykach i hulankach; względem żony zachowywał się do tego stopnia brutalnie, że bił księżną Alicję, będąc nie w humorze. On to, mszcząc się za wytoczenie procesu, rozpuścił plotkę o ucieczce księżnej ze stangretem.

Niestety i w naszym społeczeństwie są małżonkowie podobni do księcia Waldenburga. Może mniej brutalni od tego junkra pruskiego—niemniej jednak są.

Czy pożycie z takim mężem jest możliwe? Czy nie jest prawdziwym piekłem dla kobiety być przykutą i złączoną na wieki z takim mężczyzną? Jak przeto postępować, by ustrzedz się nieszczęścia? Czy podobna idąc do ołtarza, przewidzieć, jakim los będzie?

Przedewszystkiem nie robić tak zwanych świetnych partyi, a wychodzić zamaż jedynie z przekonania.

Nie wychodzić za człowieka mało sobie znanego, którego widywało się tylko na zabawach i ceremonialnych wizytach; zanim się powierzy los swój w ręce obcego człowieka, należy poznać gruntownie jego charakter, a nie myśleć jedynie o zapewnieniu sobie spokojnej, wygodnej egzystencji.

Większość panien, szczególnie mniej zamożnych, wychodzi zamaż w celu zapewnienia sobie bytu.

Niezbym wesoło biegać z lekcyi na lekcyę, męczyć się z nieznosnymi nieraz dzieciakami lub pracować w jakimś biurze lub sklepie, gdzie mężczyźni niezbyt po rycersku zazwyczaj odnoszą się do swych koleżanek.

Zapewne... a jednak kto wie, czy nawet to życie samotne i ta troska ciągła o jutro, szczególnie, gdy jesień życia nadejdzie, nie jest lepszą, niż wyjście zamaż za pierwszego lepszego, który się trafi.

Gorzko nieraz żałować muszą dziewczęta nieopatrzności kroku, krwawymi łzami oplakując zawiedzione nadzieje szczęścia.

Dlaczego jest tyle niedobrych stadła małżeńskich? Po czyjej stronie leży wina zazwyczaj?

Zdaniem naszym przeważnie winni są mężczyźni; oni to chcą mieć albo ładną lalkę, najładniejszy niejako sprzęt w mieszkaniu lub gospodynię, którąby pamiętała o ich potrzebach domowych i przyrządzała smaczne obiady. Rzadziej zaś pragną widzieć w żonie towarzyszkę życia i pracy, powiernicę swych myśli, dążeń i ideałów.

To też, gdy niema dzieci, czem, pytamy, ma wypełnić sobie życie kobieta—o ile nie przywiąże się całą duszą do tego rodzinnego

oguiska, którego przecież sama dla siebie bez współudziału męża, rozżarzyć nie jest w stanie? W sercu jej zamiast uczuć miłości, gorczy jedynie i zniechęcenie obiera siedlisko, lub żądza pustych zabaw i szarów.

Znałem jedno małżeństwo. On był zamożnym na dobrym stanowisku, inteligentnym trzydziestoletnim mężczyzną, ona młodzieńką, ubogą panią z małomieszczańskiej sfery, bardzo urodziwą; po ślubie otoczył ją zbytkami, poświęcając wszystkie wolne od zawodowej pracy chwile zabawom. Bywali wiele, przyjmowali u siebie gości niemal codziennie, rzecz prosta koło pani domu gromadzili się młodzi ludzie, nadskakując jej i prawie komplementy — tembardziej, że mąż pięknej gospodyni był ich starszym kolegą biurowym, od którego zależnym był awans.

Gdy przybyło dziecko jedno i drugie, pan domu pragnął zmiany trybu życia; chciał, aby żona jego poświęciła się teraz wychowaniu dzieci. I zaczęły się niesnaski. Pani chciała się dalej bawić; pan domu nie mógł zrozumieć, jak może przekładać puste zabawy nad wypełnianie najświętszych obowiązków macierzyńskich. Po kilku latach się rozeszli.

Kogo w tym wypadku, pytamy, winić należy?

Czyż można wymagać od dziecka prawie z bardzo małym wykształceniem, które zaledwie zmieniło krótką sukienkę na elegancki jedwabny szlafroczek mężatki, rzucanego w wir zabaw — wypełniania obowiązków macierzyńskich?

A potem skarżymy się, że jesteśmy nie-szczęśliwi w pożyciu małżeńskim.

R.



NASZ KWESTYONARYUSZ MACIERZYŃSKI.



V.

Najtrudniejszym do zwalczenia błędem, a zarazem największą w życiu ludzkim ozdobą, wadą i zaletą, jest *niedoświadczenie młodości*, z całym swym barwnym orszakiem tęczyowych mrzonek i złudzeń, płomiennych porywów i uczuć, namiętnych uniesień i pragnień, nieliczenia się z jutrem, stawiania wszystkiego na jedną kartę, niedoświadczonego wyboru, rozpaczliwych postanowień z powodu najblahszych przyczyn i t. p.

Doświadczenie przeżytych lat i tysiączne rozczarowania wykazują popełnione pomyłki, gdy już za późno na zmianę tego, co się powetować nie da.

Oto są główne błędy i braki w wychowaniu i małżeństwie niemal każdej kobiety, która na *loteryi życia* nie wygrała terna: *odpowiedniego dla jej usposobienia męża!*

Czyż przez to należy unikać lub potępiać młodość? ten kawał życia i lekkomyślnego szczęścia bez poważnej troski i zimnej, trzeźwej rozważy? Widzimy ją dzisiaj, tę młodość nowomodną! przedwcześnie znużoną, egoistyczną, wyrachowaną, aż nadto przezorną, obliczającą zyski i straty, nieprzystępną idealom, znudzoną wszystkiem, co realnej nie przynosi korzyści, bezpłomienną, ujętą w karby matematyczne, zmęczoną już samym po-

czątkiem życia! Czyż przez to lepszą jest i szczęśliwszą?

Karta losu nie dla wszystkich jednako się odsłania — a tej nie zmienić, nikt przewidzieć nie może!

Widzimy tak zdumiewające sprzeczności między tem, do czego nas wychowują, a tem czego realizm życia od nas wymaga, że trudno rozstrzygnąć, co było brakiem i błędem wychowania? co niedostatkiem natury samej, która tego lub owego zmysłu czy uzdolnienia nam odmówiła? a co nieodgadnioną igraszką przeznaczenia?

Niezaprzeczoną prawdą w tym względzie jest tylko to, że najlepsze czy najgorsze czynniki wychowawcze są zawsze tylko wstępną „sztuką“ do tej ciężkiej szkoły, którą życie i małżeństwo stanowi.

A gdyby to małżeństwo zawierać się miało kilkakrotnie, to każdorazowe stanowiłoby osobną szkołę, w której nauka bez względu na poprzednie doświadczenie, poczynalaby się od *a, b, c* zastosowywania się do nowej odmiany charakteru i usposobienia człowieka, t. j. mężczyzny, który przed ślubem (bez nowicyatu) jest zawsze tylko nierozwiązaną dla kobiety zagadką.

To samo z odpowiednią odmianą da się zastosować do dzieci i potrzeby ich wychowania. Być matką, zdawałoby się szczytem szczęścia, a jednak częstokroć staje się tylko źródłem licznych trosk i rozczarowań. I czyż wydając na świat dzieci, kobieta przeczuć może, co z nich uczyni życie? Czas dopiero odsłania liczne pomyłki co do ich charakteru i usposobienia. A jednak, gdyby po nabytem doświadczeniu, wydała na świat nową seryę potomstwa z powtórnego związku, nie uniknęłaby nowego szeregu świeżych doświadczeń i zawodów, na podstawie odmiennych typów, któreby jej wychowywać przyszło.

Czem wobec tego ma być dzisiejsza kobieta? Mojem zdaniem, zawsze i przedewszystkiem *sobą*, t. j. wychowaniem i ogładzonem odbiciem tego, czem ją natura stworzyła; bez anormalnie sztucznej apretury obowiązkowo wtłaczanych w nią najróżnorodniejszych wiadomości, zupełnie w późniejszym życiu niepotrzebnych i kształcenia *par force* talentów nieposiadanych. Wyrabiać przedewszystkiem należy siłę i zdrowie do przetrwania czekających ją cierpień fizycznych, udzielać wiadomości praktycznych i kształcić stosownie do zdolności i potrzeby zajmowanej pozycji światowej. Więcej uzdolnione, samodzielne, w nauce zamiłowane, a talentami obdarzone kobiety, będą się zawsze zaliczały do wyjątków, których krępować nie należy, ale też dla nich ogólnej reguły stwarzać nie można.

Kobieta z t. zw. przewróconą głową, rozbudzonem *naśladowczo* pragnieniem emancypacyjnem, a niedorodłym rozumem, jest największą pomyłką dzisiejszej doby.

Przeciętnie wzięwszy, należy ćwiczyć kobietę przedewszystkiem w uległości, do której jest powołana, w chrześcijańskiej cierpliwości, abnegacji i wyrozumiałości, które jej w życiu będą konieczne; inaczej stanie się ona dla niej ciężkim brzemieniem bezsilnych, trawiących się w sobie buntów, daremnych wobec przewagi ustawodawczej silniejszego i zawsze nad nią dominującego rodzaju męskiego.

W dalszym ciągu, zarówno ochroną, podniętą, treścią i szczęściem w życiu kobiety, może być tylko *możliwość* nieograniczonej ufności i miłości dla męża.

Natura stworzyła te dwa rodzaje na to, żeby się wzajemnie dopełniały, były dla siebie celem istnienia i źródłem szczęścia, z którego winno powstać nowe życie, *zdrówemu* potomstwu przekazane, *bo tylko w tych warunkach normalne*.

Po za tem, każda wrażliwa i uczuciowa natura kobieca musi prędzej lub później wypaczyć się i wykołować. Bo małżeństwo bez

miłości, to powolna męczarnia i trucizna, którą każda godzina sący w duszę uczuciowej, sercem obdarzonej kobiety.

Dzieci niczego w tym kierunku zastąpić nie mogą, bo są tylko do czasu pod jej opieką i wpływem, a ich uczucia i cele zwrócone są w przyszłość ich własnej egzystencji, nie obciążającej się po za siebie.

Jakim może być dziś obiektywny pogląd doświadczonej, myślącej niewiasty na różnorodność typów męskich? Zbliżka krytycznie ocenieni: są to istoty za młodu silne własnością twórczą — i sprężystością muskularną.

Wola? charakter? i serce?

W nowoczesnej generacji zamienione w dziwny przetwór wadliwo-nerwowy, odbiegły daleko od pierwowzoru dawnych pojęć idealnych. A ród „Zawiszów“ zdaje się wygasł bezpotomnie!

Nawet dzisiejsza śmieszna moda prowadzenia kobiety, trzymając się jej ramienia, ilustruje smutny stosunek, w którym mężczyzna przestał być opieką, podporą, granitowym filarem dla kobiecego zaufania i jej delikatniejszej natury, tylko stał się jakby przyczepionym do niej dodatkiem, gotowym każdej chwili do moralnego odwrotu, gdyby ona na seryo ramienia tego lub opieki ku swej własnej obronie zapotrzebowała, bez zadowolenia jego samolubnej ambicji i miłości własnej, co też w następstwie musiało wywołać niezdrowy prąd emancypacyjnej samoobrony w obozie niewieści.

Jakież wobec tego mogą być obecnie wskazówki wychowawcze?

Uczynić kobietę albo zupełnie samodzielną, na *równych* prawach z mężczyznami, co dla niej samej stałoby się męczącą klęską Phyrusowego zwycięstwa, albo zacząć poważną *retour-reformę* od urabiania przedewszystkiem charakterów męskich na wzór dębu, o któryby się miękka, a tak wdzięczna w swej naturalnej, uczuciowej wrażliwości kobieca słabość z „bluszczową“ tradycyjną ufnością owinać mogła.

Ten bowiem nienaturalny stosunek, jaki obecnie dzieli obydwa rodzaje na współzawodniczące obozy wyczerpującej walki o byt, wyzyskujący i oszukujący się blichтром imitacji uczuć „miłością“ (!) zwanych, w których na dnie spoczywa niesmak i rozczarowanie przesytu lub niedosytu zmysłowego — jest tak smutny, tak mało szlachetny i etycznie piękny, że nie można go chyba winszować, ani zazdrościć współczesnym! A przecież życie mogłoby być szczęściem, gdyby — gdyby — gdyby — i całego ich szeregu, na które za ciasne są ramy niniejszego „Kwestyonaryusza macierzyńskiego.“

Janina Miodoborska,

żona i matka.

Lwów, 28-go Sierpnia 1903 r.



BABUNIA.

O B R A Z E K.



Staroświecki zegar z kurantem wydzwonił zwolna jedenastą godzinę, a srebrzyste dzwinki rozsypały się, jak perełki wśród ciszy po-grążonego w mroku pokoju, budząc uśpione echa przeszłości, zakłute w starych sprzętach i w sercu czuwającej Babuni.

Z siwą głową wspartą o wysoką poręcz skórzanego fotelu, z białemi, przeźroczystymi dłońmi skrzyżowanymi na kolanach, staruszka duma, zapatrzona w płonący na kominku

ogień, który przelotnym blaskiem powołuje do życia wyblakłe postacie w poczerniałych ramach na ścianie, i złocistą nimbę kładzie na blade, pomarszczone czoło, zasłuchane w cichnące dźwięki.

Ileż to godzin życia wybił dla niej ten zegar... — godzin szczęścia, bólu i troski... jak on się żył, zespolił z uderzeniami jej serca od chwili, gdy uradowanym jej rodzicom zwiastował przyjście na świat jedynej, długo oczekiwanej córki!... A dziś, gdy serce jej takie znużone, kołacze się w piersi coraz słabszym tętnem, on zawsze bije równo, miarowo, i gdy jej nie stanie na świecie, bić będzie dalej, w nieskończoność, znacząc drugim czasem, który dla niej już wkrótce zatrzyma bieg swój na zawsze.

Siedemdziesiąt pięć lat!... Jakaż to długa przestrzeń życia pozostawionego za sobą... wlokąca się nieprzerwanym łańcuchem wspomnień oplecionych dookoła duszy, — a jak mało już miejsca pozostaje dla przyszłości, — jak blisko już do jej kresu!...

Na dworze zawodzi wichry zimowy, podnosząc lśniące tumany śniegu; ciemne niebo roziskrzane miliardem gwiazd, które migocą w arabeskach szronu, a w białej zawiei lecącej z nad sennych pól i lasów, w przepaściiste mroki nocy, niknie Rok stary, ustępując miejsca Nowemu, który zstępuje na świat cicho, tajemniczo, jak dziecko, nad kołyską którego śłania się *Wróżka-Nadzieja*.

Wskazówki starego zegara na ścianie posuwają się dalej, i minuta za minutą zapada w przeszłość, jak kropla w morze. Ciche, równe tętna metalowego serca biją zimno, beznamietnie, nieugiętym rytmem. Przeznaczenia, którego nie przyspieszyć, nie powstrzymać nie zdoła... uderzają pulsem życia zaczerpniętego gdzieś u zamierzonych źródeł wszechbytu, i lecą w nieskończoność wieczności...

Babunia wzdycha zamysłona, wspominając dawne czasy, kiedy Rok nowy witano w rodzinnym gronie weselem i radością, wychylając kielichy starego węgryna... Kiedy młodość i nadzieja promieniały na licach, a dłonie spletały się w bratnim uścisku przy wymianie życzeń... A dziś...

Dziś pustka dookoła... tylko w ciszy północnej słychać gwar wspomnień... tylko w mrokach mającą mgliste jakieś widma, których długi korowód snuje się bezładnie, napełniając tłumem milczące kąty.

Więc najprzód kroczą poważne postacie z podgolonym włosiem, w kontuszu, przy karabeli, a wśród nich matrony o dostojnym obliczu, inne znów w kwiecistych robronach i pudrowanej peruce z różą zatknietą za gors i białą dłonią piastującą wachlarz. Wśród nich przesuwają się gdzieś tam czar-na, ascetyczna postać w mniszym habicie, z białą przepaską nad surowym czołem, z którego znikła wszelka myśl ziemską. Ręce białe, jak opłatki, dźwigają ciężki modlitewnik o pozółkłych pergaminowych kartach; oczy zapatrzone w zaświatowe widzenia zdają się nie dostrzegać znikomości ziemskiej. I wszystko znika... zaciera się... rozprasza w mroku, jak sen przeszłości, nad którym zapadają ciężkie wrzeczadła grobowych lochów... I znowu inny obraz zmartwychwstaje przed oczyma.

Stary, modrzewiowy dworek wiejski opleciony konarami rozłożystych lip obciążonych szronem... W głębi długi stół zasłany białym obrusem na wonnym sianie; w czterech rogach komnaty snopy zboża. W pośrodku zebrana domowa družyna: starce i dzieci, ubodzy krewni zciągający z zaścianek, sędziwy proboszcz, słudzy posiwiali w usługach rodziny, a wszystko to ma odświętny jakiś wygląd, i lżę rozrzewnienia w oku. Białe opłatki przechodzi z rąk do rąk, cichy szept wymienianych życzeń krzyżuje się w powietrzu, dłonie spletają się, serca odrzucają z siebie żal i zawiść... a gwiazda Betleemska, zwiastująca pokój światu, wschodzi na ciemnym niebie i zagląda do okienka, jak żrenica Boża. Dalekie dzwony wiejskiego kościołka biją na Pasterkę... czarne gromadki ludzi ciągną polami po zmarzłej miedzy, — choinka jarzy się różnokolorowymi stoczkami, dookoła niej snuje się rozradowana dziatwa, a *szopka* staje w progu, dziadus z torbą i *kozus* brodaty, postrach niegrzecznych malców, i stara koleśda rozlega się pod oknem: „Bóg się rodzi, moc truchleje...”

Oj! te czasy... te błogie dawne czasy!...

Pękły lody... roztały się śniegi... wiosna powiała nad światem kadzielnicą konwaliowych woni, świeżo skoszonych łąk, żywicznych soków... wiosna taka promienna i pełna blasków, jaka już nigdy potem nie zajaśniała na niebie. I dziś jeszcze, po tylu, tylu latach technienie jej samem wspomnieniem krasa blade lica Babuni. Oczy przygasłe uśmiechają się słodko, rzewnie, do wiotkiej, dziewczęcej postaci ze złotą jak słońce majowe kosą, spływającą na ramiona, z pękiem polnych blawatów u piersi... Obok niej postać dziarskiego młodzieńca. Czarne oko żarzy się, jak węgiel, usta płoną zapalem, — ramiona silne, jak u olbrzyma, wyzywającego cały świat w zapasy, wyciągają się do ukochanej... Oczy spotykają się... potem dłonie... usta... a Babunia zapatrzona w przeszłość drży, miesza się, i płonie na wspomnienie pierwszego pocałunku miłości, w którym duszę swą i serce oddała na całe życie.

Trzęsące wzruszeniem ręce, wyciągają się do starego mahoniowego kantorka okutego poczerniałymi bronzami. Ile w nim szufladek, tyle grobów... grobów, wspomnień wymowniejszych jeszcze od tych, które tam leżą na cmentarzu. Tu pochowała całą przeszłość swoją, skarbiąc skrzętnie pamiątki każdej dobrej lub smutnej doby życia, aby móż kiedyś przeżywać dawne radości i bóle, gdy wątku nie starczy do nowych, a księga życia zamknie się na pustej karcie. Z głębi tajemniczej skrytki Babunia wydostaje paczkę pozółkłych listów, przewiązanych wyblakłą wstążką: siwe oczy przeglądając je, zachodzą wilgocią, usta szepczą wieczny odpoczynek... a piersi podnosi się westchnieniem. Gdzieś tam z kart wypada parę zasuszonych kwiatków z dalekiego pola śmierci... tu znów mirtowa gałązka spowita w koronkę ślubnego welonu, — jasny, jak len pukiel dziecięcych włosów, miniatura oprawna w kość słoniową... dagerotyp, na którym zatopione w nim oczy śledzą daremnie śladów zacierających się rysów. Dalej znów stary elementarz, na którym Babunia uczyła czytać pierworodnego syna, pierwsze nie-

wprawne próby dziecięcego pisma, rysunki fantastycznych jakichś drzew i potworów, w których oczy matki dopatrywały śladów geniuszu. Spróchniałe szufladki, jak mogiły wydają duchów pogrzebionych miłości i rozwianych nadziei... a smutek bezmierny, jak kamień grobowy osiada na sercu Babuni.

Gdzie się to wszystko podziało?!

Gdzie te dłonie, które wiodły ją za młodu szlakiem życia, usianym gwiazdami nadziei? Gdzie to ramię, na którym wsparta szła później przez ciernie i głogi długiej mozolnej wędrówki ziemskiej... szła z wiarą i miłością w sercu, patrząc ufnie w ciemną przyszłość... Gdzie jasne dziecięce główki, które otaczały ją słonecznym kręgiem przywiązania?... Gdzie miłość... przyjaźń, która wiernie i wytrwale stała u jej boku w dobrej i złej doli?

Wszystko to uniósł daleko prąd czasu... porwała fala niepowrotna życia... pochłonięły groby...

Pozostała sama...

Wiatr zimowy łopocze o zamarzłe szyby okna, niosąc gdzieś z dalekich przestworzy czasu, zlaną w jedną harmonię echa przebrzmiałych radości i smutków a zasłuchane w przeszłość ucho Babuni chwyta w nich granie weselnych organów i rozplakane dźwięki pogrzebowego dzwonu, szepty miłości i skargi tłumionego bólu. Jak paciorki różańca wspomnień, tak rok po roku przesuwają się przed jej oczyma. Sędziwe usta drżą wzruszeniem, żrenice rozpalają się, to znów gasną... fala wspomnień bije o pierś samotną... Dookoła cisza północy... tylko stary zegar wtóruje sercu Babuni... tylko Czas srebrną kosą strąca minuty w otchłań wieczności.

Co to takim cichym, miarowym rytmem buja się w pustej przestrzeni, z której uleciały duchy przeszłości, zgarnawszy skrzydłami wszystkie promienie życia? Co to za mała gwiazdka, która tam z wysoka zagląda tak uparcie w posmutniałe oczy Babuni i zdaje się uśmiechać do niej dziecięcymi żrenicami, budzącymi się do życia z obsłon kolebki, kołysanej technieniem dalekich wiechrów?... Jej prawnuk!... jej jedyny!... którego rodzic wypieszczony niegdyś na kolanach Babuni, legł już także w grobie... Ostatnia gałązka rozkwitająca na pniu drzewa rodzinnego... ostatnie ukochanie...

Jak ten Rok Stary ustępujący przed Nowym, tak i ona zchodzi ze świata, ustępując miejsca nowemu pokoleniu, które kiedyś zasiądzie u tego opustoszałego rodzinnego ogniska, aby rozniecić je na nowo płomieniem tradycji dawnych, jak Znicz święty przechowany w popiołach. Czas nieubłagany, który z każdym poruszeniem tego oto wahadła na srebrnej tarczy posuwają ją bliżej grobu, jemu... temu umiłowanemu ostatnim wysiłkiem milknącego już serca, — przysparzać będzie krewkości i siły. Więc niechaj błogosławionym będzie bieg Przeznaczenia, który pole rodzącego się życia użyźnia plonem Śmierci!

Kto choć jedno ziarno rzucił pod zasiew przyszłości i orał zagon, z którego inni żąć będą; kto choć jedno umiłowane serce pozostawia za sobą, ten nigdy całkowicie nie umiera.

Błogosławione niech będą łyżki przelane, które tęczę rozbłysną kiedyś nad młodem czo-

łem i rosą ożywczą spadną na serce rozgrzane pamięcią przeszłości!..

Niechaj hart duszy nabyty przez ojców w trudach żywota, umocni młodzieńcze ramie w twardych zapasach z losem, a kruszec ich doświadczenia wypalony bólem, niechaj mu będzie skarbnicą mądrości. I niechaj Sława wieńcem opasze mu czoło, a Miłość, jak kwiat purpurowy zakwitnie u piersi...

Błogosławioną niechaj będzie ziemia, którą uprawiać będą jego ręce... Niechaj łany jej zakwitną złotym plonem, łąki zaszumią kwieciami... drzewa niechaj dają cień jego strudzonej głowie, a źródła ochłodę spragnionym ustom. Słońce jasne niechaj przyswieca jego drogom, a księżyc osrebrza marzenia nocy. Obluda i przewrotność niechaj nie mają przystępu do niego; każda dłoń niech mu będzie bratnią, każda pierś ludzka echem... Ramiona jego niechaj dźwigają światy, myśli sięgają nieba, a serce jego niechaj jak ptak lekkim będzie w piersi. I niech mu przewodniczą w życiu duchy gwiazdy, a ramiona miłości puklerzem opaszą pierś jego!..

Gdy zaś i na niego przyjdzie kres ostatni, niechaj cześć i wdzięczność ludzka zagrają mu podzwonne, a żal i łzy ciche idą za nim do mogiły, i niech w kochające dłonie złoży puszczoną przeszłości, wzbogaconą plonem własnym, a matka-ziemia niech go miłośnie, jak dziecko utuli na swoim łonie.

Drżąca ręka Babuni wyciąga się w powietrzu i wielkim znakiem krzyża przesuwa się zwolna nad bielejącymi w oddali grobami, nad ziemią i niebem, nad mrokami przeszłości i nad niewidzialną kołyską, w której świta nowe życie...

Oczy przymykają się... usta uśmiechają słodko... błogosławiące dłonie składają, jak do modlitwy...

Cicho... Babunia marzy.

Stary zegar wybija zwolna północ.

Zofia Hartingh.



Modna choroba oczu.



„Wzroku takiego, co wszystko zlekka musnie i niczego nie zgłębi — niech wychowaniec twój się strzeże, bo to jest modna choroba oczu.“

Trentowski.

Mieliśmy profesora psychologii, który nam prawie przy każdej lekcji powtarzał: „że ludzie nie umieją patrzeć i dlatego tak źle na świecie“.

Ileż razy w życiu wspomniałam te słowa zacnego pedagoga! Ileż razy i ja w życiu powtórzyłam, że sztuka patrzenia jest wielką sztuką, ale zaledwie kilkadziesiąt dusz umiało ją zdobyć, a reszta, a tłumy, a całe niezliczone szeregi idą, patrzą, nie widzą!..

Nie widzą ludzie wad wzajemnych, nie widzą cnót promiennych, nie widzą obowiązków dokoła rozsnutych, nie widzą cierpień i krzywd spełnianych bezustannie, nie widzą ziarn tych, które się plenią bujnie i dają same osty na

żniwo, nie widzą przepaści, które otchłanie owe kryją złudną powierzchnią.

A winą? oto, jak powiada Trentowski, ludzie nie umieją niczego zgłębić, ledwie zlekka wszystko musną i już zdaje się im — wszystko zrozumieli, pojęli, zbadali i poznali.

Ta „modna choroba oczu“: patrzenia lekko na najważniejsze sprawy, przynosi straszne skutki!

Upadają fortuny, wał się domy stare, młodzież na manowce zchodzi, trucizna wlewa się w serce ludu, dzieci piją złe przykłady, grunt z pod nóg się usuwa, a tego nie widzimy, bo nie badamy głęboko i lekko muskamy wszystko w życiu.

Życie nie jest sztuką teatralną, na którą dość popatrzeć z łoża lub balkonu i wyjść: na życie trzeba patrzeć ciągle, bezustannie, czujnie i bacznie tak, jak na uspioną wioskę patrzy ów cichy stróż w płótniance, który raz po raz zwraca oczy, czyli gdzie się jaki cień zły nie sunie, czy jaka iskra zgubna nie pada. W życiu trzeba patrzeć i na to, co się z nami dzieje i na to, co około nas się odgrywa codzienną, szarą drogą chodząc.

Jeśli widzimy, iż ludzie ubożają i fortuny nikną, to nie dość lekko wzrokiem przez to przejść, ale trzeba badać i zbadać w czym przyczyna, gdzie rada, jakie lekarstwo? Jeśli widzimy, iż charaktery psują się, kłamstwo staje się coraz powszedniejszą rzeczą, lenistwo, jak polip chwyta ofiary, — nie dość powiedzieć tu i tam, iż jest tak, ale trzeba wzrokiem sięgnąć w głąb i zbadać, gdzie spoczywa robak zepsucia, ażeby go móżdż wytepić.

Tak samo i w wychowaniu dzieci.

Najczęściej popełniamy ten błąd, iż lekko patrzymy na duszę dziecka, — musniemy ją tylko, jak powiada Lenartowicz, niby jaskółka piórem po wodzie i mamy to przekonanie, że już wychowanie ujęliśmy w nasze dłonie.

U dziecka trzeba sięgnąć duszą wzroku w głąb każdej myśli dziecka, każdy rys jego charakteru zbadać, każdy objaw wady lub zdolności znać i umieć stosownie działać.

A co jeszcze najważniejsze, to jak ów nasz stary professor mówił: „uczyć dzieci patrzeć“.

Na wszystko patrzeć trzeba dzieci nauczyć, poczynawszy od tej gwiazdy, która je zachwyca swym blaskiem, od tego motyla, za którym gonią, od tego bawidełka, którem się cieszą, aż do tej łyzy nędzy, która rzeźbi na licu biednego bruzdy, aż do tych głębi czarnych kopalni, gdzie umęczeni połowę życia pędzą w pocie, trudzie i ubóstwie.

Dziecko trzeba nauczyć patrzeć na wszystkie piękne rzeczy, aby umiało to piękno kochać i cenić, — na wszystkie rzeczy pożyteczne, aby umiało uszanować ich wartość, na wszystkie obowiązki i mozoły ludzkie, aby wiedziało, iż nie tu nie spada, jak rosa poranna i nie wykwita, jak blawat w polu.

Modna choroba oczu, która lekko uczy patrzeć, wytwarza całe pułki krytyków nie dorosłych, dekadentów bezpożytecznych, leniwców, którzy jak pasożyty wpijają się w organizm społeczeństwa.

Bo tacy, co lekko wszystko brali, nie zgłębili nauki, nie poznali prawdy, nie umęczyli się nigdy sami, nie widzieli nigdzie korzeni

i ziemi przygotowanej pod zasiew, a tylko spoglądali na kłosa i — wyrokowali, jak mędrcy.

Dziecko niech się przypatrzy, jak rzemieślnik mozolnie pracuje, jak ubogi mało ma pragnień i obchodzi się bez najpotrzebniejszych rzeczy, jak wiele trzeba cierpliwości, aby jeden zegarek ułożyć w całość, ile cierpień i walczył niejedyn z wielkich ludzi, który o własnych siłach się dobijał.

Gdybyśmy spojrzeli z uwagą w te warunki materialnego bytu naszego, które dzisiaj wszystek grosz nasz porywają i wnoszą w ręce obce, gdybyśmy my pojęli czem jest zespolenie usiłowań wielu, aby przemysł krajowy do życia powołać, wesprzeć i utrzymać, to byśmy nie tak się brali do pracy, jak teraz!

Robimy tylko hałas i reklamę, a w istocie przemysłu nie mamy i nie stwarzamy go. W tem wszystkim jest modna choroba oczu, tak zwany wzrok lekki, z którego inne narody wyleczyły się dawno, a my — może najtrwalej w niej się zachowujemy.

— Patrz w serce! — wołał Mickiewicz — a Sienkiewicz powiada: „Sa, którzy nie widzą drzew, a wyszukują sęki!“.

Takich podobno najwięcej!

Jadwiga z Ż. S.



Kronika działalności kobiecej.



— Szkoła rysunkowa dla kobiet pani A. Conti rozszerzyła znacznie zakres swego działania i pod kierunkiem wytrawnych artystów, wprowadziła wszystkie działające wymagane przez należycie rozwiniętą szkołę. Szkoła obejmuje: Rysunki i malarstwo, rzeźbę, sztukę zdobniczą i kompozycję ornamentacyjną, rysunki techniczne i konstrukcyjne, rysunki ręczne wieczorne (model żywy), rysunki ręczne wieczorne (bryły, martwa natura, odlewy gipsowe z natury), wreszcie kursy dla dzieci (rysunek elementarny ręczny i modelowanie).

Kierownikami Szkoły są: Antoni Austen, Marya Gerson-Dąbrowska, Karol Jankowski, Arkadiusz Jasiński, Leokadya Łempicka, Bronisław Maruszewski, Maryan Trzebiński i Władysław de Turquier.

Specjalny kurs dla dzieci prowadzić będą panie: Marya Gerson-Dąbrowska i Leokadya Łempicka, obie znane nie tylko jako artystki, ale i jako pedagogowie na polu sztuki. P. Marya Gerson-Dąbrowska obejmuje kurs modelowania, a jest to zajęcie, które dzieci niezmiernie lubią, zaś p. Leokadya Łempicka, znana jako kierowniczka szkoły s. p. Bronisławy Poświkowej, obejmuje kurs elementarny rysunków ręcznych.

— Z Kassy kobiet. Za inicjatywą doktora Tchórznickiego zarząd Kassy samo pomocy dla kobiet pracujących fizycznie zajął się bardzo gorliwie wejściem w układy z właścicielami zakładów kąpielowych, położonych w różnych punktach miasta, celem uzyskania znacznych ustępstw od cen normalnych, aby tym sposobem uprzystępnienie kąpiele szerszemu ogółowi uczestniczek Kassy. Niektórzy właściciele większych zakładów zgodzili się już na układ powyższy z Kassą, nie wątpimy, że i pozostali pójdą za ich przykładem.

Bilety do kąpiei, tak jedno, jak i więcej razowe, sprzedawane będą w biurze Kassy: Nowy-Swiat, 57.

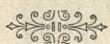
— Paryż. Wystawa Sztuk Pięknych w Salonie Jerzego Petit, złożona wyłącznie z prac artystek, przedstawia się nadzwyczajnie korzystnie. Wśród wielu prac nader udatnych, nie brak też okazów wysokiej artystycznej wartości. Najlepsze prace wyszły z rąk pań: Florencji Esté, Gallay, Nanny Adam i Popelin.

— Austro-Węgry. W Wiedniu powstało nowe stowarzyszenie artystyczne kobiece, t. j. „Związek rytmiczniczek”. Rytmownictwo znajduje się w Wiedniu przeważnie w ręku kobiet i stowarzyszenie ma na celu, oprócz zwykłej samopomocy i utworzenia czegoś w rodzaju klubu, obronę przeciw wyzyskowi, na który kobiety w każdej gałęzi pracy są narażone.

— Dla zamierzonej, trzeciej wystawy strojów i mód, zorganizowany już został komitet, z księżną Różą Croy-Düllmen, jako prezesową, na czele.

— Stany Zjednoczone. Po raz pierwszy w Chicago zasiadły kobiety jako sędziowie przysięgli w sprawie 10-letniej Maryi Mac-Gann. Stwierdzone zostało, że dziewczynka ma bardzo złe, występne skłonności, w skutek czego skazano ją na dłuższy pobyt w domu poprawy. Przeciw takiemu wyrokowi zaoponowała matka dziewczynki, dowodząc, że jako jedynaczka, dziewczynka, mimo złych skłonności, jest niezmiernie do matki przywiązana i że pobyt w domu poprawy zgubnie wpłynie na jej zdrowie. Sędziowie-niewiasty po naradzie z drugimi sędzioma sędziami-mężczyznami, wydali wyrok, pozwalający matce zamieszkać razem z dziewczynką w domu poprawy.

Z. S.



Nasz ul.



— W numerze 15-ym „Kuryera Warszawskiego” zamieszczono art. p. dr. Stefani Suszczyńskiej, „Co ma robić z sobą dziewczyna po skończeniu pensyi?” Po rozpatrzeniu przeróżnych kwestyi, autorka przychodzi do konkluzji, że obecne szkoły nie są złe, że nie trzeba otwierać nowych, lecz tylko istniejące zreformować tak, by kobieta w nich uczyła się, kształciła i rozwijała na równi z mężczyzną. Wtedy to będzie ona odpowiednio przysposobioną do życia społecznego i samodzielnego. Sfera jej działania rozszerzy się do spraw, które dotąd były wyłączną własnością mężczyzny, a do których ma ona najzupełniejsze prawo.

— Pod hasłem: „Czynić wszystko, co może utrwalić pamięć mistrza pieśni polskiej”. Sekcja imienia Moniuszki, założona przy Towarzystwie Muzycznym, — dzięki inicjatywie ś. p. Jana Karłowicza, podjęła myśl wybudowania osobnego grobu dla Moniuszki, w celu uczczenia jego zasłużonej pamięci. Nadto działalność sekcji obejmuje jak najszersze horyzonty, a więc staraniom jej dziś już zawdzięczać należy powziętą przed dwoma laty uchwałę utworzenia przy Towarzystwie Muzycznym, stypendium szkolnego dla potomków imienia Stanisława Moniuszki, oraz nagród konkursowych jego imienia dla muzyków polskich. Ustawę rzeczowego stypendium i nagród komitet Towarzystwa posiada już zatwierdzoną.

Dalej gromadzone rękopisy i pamiątki osobiste i rodzinne mistrza, dziś stanowią bogaty materiał do przyszłego Muzeum imienia Moniuszki.

Komitet Towarzystwa Muzycznego, popierając wnioski sekcji, wyjednał u władz pozwolenie, na nadanie nazwy ulicy „Moniuszki” jednej z nowopowstałych ulic, na placach po b. szpitalu Dzieciątka Jezus.

Myśl, szczęśliwie rzucona jeszcze w 1891 roku przez Władysława Mierzińskiego, wystawienia posagu marmurowego Moniuszki w foyer Teatru Wielkiego w Warszawie, doczekała się urzeczywistnienia. Do zbiorów muzealnych przybywają nowe pamiątki, zaofiarowane przez ludzi dobrej woli, którym drogą jest pamięć polskiego pieśniarza.

Oto ich nazwiska: St. Leszczyński, list Moniuszki z dnia 17 Kwietnia 1872 r. (krótko przed śmiercią) do Teofila Lenartowicza w przedmowie opery „Paria”; Mieczysław Karłowicz, libretto „Halki” po czesku z 1868, dwie notatki ś. p. Jana Karłowicza o Moniuszce z 1846 r. Ignacy Józef Paderewski partytę fortepianową ze śpiewem kantaty mitologicznej „Milda” w oryginale z r. 1848; panna Wanda Plawińska, partytę fortepianową do śpiewu z opery „Hrabina” (półrękopis); p. St. Stefanowicz, dwa rękopisy „Hymn” i „Nowy Rok”; p. Emil Weydel list J. Ig. Kraszewskiego do Moniuszki z dn. 21 Marca 1862 r.

— W Muzeum Narodowym w Krakowie otwarto staraniem dr. Włodzimierza Demetriowicza, oddział etnograficzny, oraz działy pamiątek historycznych i przedhistorycznych.

— Nauczycielki domowe, po zdaniu specjalnego egzaminu będą mogły, jak wyjaśniło Ministerium Oświaty, wykładać w szkołach początkowych.

— Zarząd Salonu Artystycznego ogłosił konkurs na najlepszy namalowaną, typowo piękną, głowę mężką. Rozmiar obrazu dowolny, wielkość głowy naturalna. Wykonanie w kolorach, olejno, akwarelą lub pastelem. Termin nadsyłania prac upływa dn. 15 kwietnia r. b. Nagród przeznaczono trzy: I—rb. 150, II i III po 75 rb. Obraz pozostaje własnością autora, Salon zastrzega sobie jedynie wszelkie prawa reprodukcji prac nagrodzonych.

— W Paryżu zacznie wkrótce wychodzić nowy miesięcznik poświęcony sztuce. Redaktorem nowego wydawnictwa będzie p. Antoni Potocki, kierownikiem artystycznym p. Władysław Granzow. Każdy numer nowego wydawnictwa obejmować będzie 48 do 60 stron, starannie ilustrowanych. Liczne reprodukcje artystyczne poza tekstem uzupełnić mają całość wydawnictwa.

Nowe pismo będzie się zajmowało nie tylko malarstwem, rzeźbą, budownictwem, lecz także poezją i muzyką.

W prospekcie założyciele ogłaszają konkurs na kompozycję rysunkową, na temat dowolnie zaczerpnięty z dzieł Fryderyka Chopina. Nagrody przeznaczono trzy: I—750 fr., II—500 fr., III—250 fr.

— Paryżka Akademia Nauk przyznała pannie Joteyko część nagrody Lallemanda (1800 fr.) za prace nad systemem nerwowym.

— Na wiosnę r. b. ukaże się autobiografia Spencera, dopelniona przez biografię pióra dr. Duncana, któremu zmarły filozof polecił w testamencie pracy tej dokonać. Autobiografię ukończył Spencer na dziewięć lat przed śmiercią; praca dr. Duncana opracowuje ostatnie lata życia myśliciela. Dzieło obejmie dwa tomy.

— Dn. 12 Lutego r. b. miasto Królewiec obchodzić będzie setną rocznicę śmierci Emanuela Kanta. Uniwersytet Królewiecki przygotowuje odpowiednią uroczystość, a na domu, w którym Kant mieszkał, umieszczoną zostanie tablica pamiątkowa.

— W dniu 28-ym b. m. o godzinie 7-ej rano zmarł ś. p. Adam Münchheimer, znakomity artysta-muzyk i kompozytor. Obszerniejszy życiorys zmarłego podamy w przyszłym numerze.

— W Petersburgu zmarł, zaraziwszy się dżumą przy badaniach naukowych, ś. p. W. Turczynowicz-Wyżniekiewicz. Urodzony w gub. Piotrkowskiej, ukończył Instytut Weterynaryjny w Kazaniu, był założycielem stacji do badań dżumy u bydła rogatego na Kaukazie i Syberii. Pracował on razem ze ś. p. d-rem Marcelim Nenckim nad badaniami bakterii dżumy u ludzi. Przy doświadczeniach nad żywymi kulturami dżumy zaraził się nimi i sądząc zrazu, że to zapalenie płuc. Natychmiastowa pomoc lekarska nie mogła ocalić zmarłego badacza.

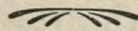
— Dn. 17 b. m. zmarł w Petersburgu ś. p. Alfons Rzeszotarski, inżynier-technolog, professor politechniki Petersburskiej, główny metalurg, Obuchowskiej fabryki armat i panczerzy okrętowych, autor wielu dzieł z zakresu metalografii.

— Dn. 10 z. m. zmarł w Petersburgu nestor ziemianstwa Żmudzkiego, ś. p. Kleofas Dymśa. Urodzony w 1820-ym r. ukończył Uniwersytet w Dorpacie, poczem udał się na dalsze studia za granicę, w czasie których poznał się i zbliżył z Adamem Mickiewiczem i Zygmuntem Krasińskim.

— W Paryżu zmarł w tych dniach ś. p. Władysław Bakatowicz, artysta malarz, głośny bardzo we Francji. Urodzony w 1831 r. w Chrzanowie, w ówczesnym wolnym okręgu krakowskim, w malarstwie kształcił się w Warszawie pomiędzy 1846 a 1852 r. W r. 1859 wystawił w Warszawie, na wystawie Tow. Zachęty, obraz przedstawiający Sobieskiego. W r. 1863 wyjechał do Paryża i osiadł tam

na stałe. Za obrazy swoje, przedstawiające przeważnie sceny dworskie, zabawy, ucztę, tańce dworskie z XVII-go wieku otrzymał liczne odznaczenia.

Pszczoła.



— Prosimy jesteśmy o podanie do wiadomości osób zainteresowanych, że w dniu 1-ym Lutego r. b. rozpoczyna się nowe półrocze w salach rysunkowych Muzeum Rzemiosł.

Osoby pragnące nadal uczęszczać, lub nowo zapisać się do sal rysunkowych, dla korzystania z udzielanego tam przez specjalistów kierownictwa, winny zgłosić się do zapisu wcześniej w kancelarii Muzeum Rzemiosł, ulica Składowa № 3, w godzinach pomiędzy 12 a 2 po południu, lub 7—9 wieczorem, dla wniesienia ustanowionych przez komitet Muzeum opłat.

W salach rysunkowych Muzeum Rzemiosł uprawiany jest rysunek początkowy ręczny, ornamentacyjny, techniczny, architektoniczny, malarstwo, rzeźba i wyrób mozaiki drzewnej, za które pobierane są oddzielne opłaty, a w szczególności:

1) Od mężczyzn, uczęszczających na rysunki ręczne i techniczne, w dni powszednie, wieczorami — półrocznie rubli 6.

2) Od tychże, uczęszczających w dni świąteczne — półrocznie rubli 2.

3) Od osób, uczęszczających na rzeźbę, mężczyzn i kobiet — półrocznie rubli 6.

4) Od kobiet, uczęszczających w dni powszednie, w godzinach popołudniowych na rysunki ręczne i techniczne — półrocznie rubli 15.

5) Od rękodzielniczek, uczęszczających w dni świąteczne — półrocznie rubli 2.

6) Od kobiet, uczęszczających na malarstwo lub wyrób mozaiki drzewnej, w dni powszednie w godzinach rannych, miesięcznie rubli 6.

7) Od osób, uczęszczających na rysunek kompozycyjny w dni świąteczne — miesięcznie rubli 2.

Prócz tego, osoby nowo wstępujące do sal rysunkowych, wnoszą jednorazowo tytułem wpisowego po rub. 1.

Coraz bardziej rozszerzany zakres działalności Muzeum Rzemiosł, oraz wprowadzane udogodnienia, na które Zarząd nie szczędzi wydatku, zjednały uznanie wśród interesujących się rozwojem tej instytucji, ważnej zwłaszcza dla sfer rzemieślniczych i przemysłowych, które w niej pozyskały poważny organ kształcenia się w rysunku i poznania piękna, podstawowych warunków pomyślnego rozwoju wytwórczości przemysłowej.

Wobec braku dostatecznej liczby szkół rzemiosł, w których młódz warsztatów otrzymywałaby teoretyczne i zawodowe wykształcenie, dziwić się trzeba, że sale rysunkowe Muzeum nie są przepełnione, jakkolwiek prowadzone są wzorowo i z niemalym pożytkiem dla uczęszczających.

Brakowi licznych szkół zawodowych nie łatwo zaradzić, lecz od gromadnego uczęszczania młodzieży rzemieślniczej do sal rysunkowych nie jej nie wstrzymuje, czemuż więc nie podążają tam zwartą masą? Wszak lepiej udoskonalić się, chociażby tylko w rysunkach ręcznych, ornamentacyjnych, technicznych — tak nazwanem abecadłem rzemieślnika, aniżeli nie umieć.

— Złożono w Administracji naszego pisma dla bardzo chorej na płuca nauczycielki z matką sparaliżowaną:

Ap. Ol...ski „ziarnko do ziarnka” — kop. 10.

Treść numeru:

Nasze prababki i my, przez M. Rolicz-Staniecką. — Przy kominku (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego. — Wnuczka (nowella), przez Halinę Adę (ciąg dalszy). — Dwa cienie (wiersz), przez Tadeusza Kończycza. — Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpilowską. — Niedobre stadła, przez R. — Nasz kwestyonarysz macierzyński (ciąg dalszy). — Babunia (obrazek), przez Zofię Hartinghową. — Modna choroba oczu, przez Jadwigę z Ż. S. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul, przez Pszczołę. — Odezwa. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz piąty powieści „Miłość moim grzechem.” w przekładzie z francuskiego M. Łaganowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 29). — Przepisy kuchenne.

33 NOWY-ŚWIAT 33

SKŁAD PAPIERU

Edwarda Teodorkowskiego

poleca wielki wybór papierów listowych krajowych i zagranicznych. Albumy do kart pocztowych, karty pocztowe, wizytowe, oraz wszelkie roboty drukarskie i litograficzne.

Sanatogen

Środek wzmacniający nerwy i zasilający organizm u dorosłych i dzieci.

Prawdziwy tylko **Bauera i Ski** w opakowaniu rosyjskiem.

Wystrzegać się bezwartościowych naśladowstw.

Broszury na żądanie bezpłatnie.

S. Karczewski, Warszawa, Nowo-Senatorska 4.

„Kuryer Codzienny”

Pismo Społeczno-Literacko-Polityczne

pod redakcją **STANISŁAWA LIBICKIEGO**.

W roku przyszłym drukować będzie słynne

**KRONIKI TYGODNIOWE
BOLESŁAWA PRUSA**

tegoż autora:

KARTKI Z PODRÓŻY.

Od Nowego Roku „KURYER CODZIENNY” drukować będzie nadzwyczaj interesującą powieść społeczno obyczajową na tle stosunków żydowskich p. t.:

Z Y D Z I

napisaną przez **Michała Muttermilcha** znanego estetyka i nowelistę zamieszkałego w Paryżu.

Jako

PREMIUM BEZPŁATNE

„KURYER CODZIENNY” da **12 TOMÓW** (120 arkuszy) najcenniejszych utworów literatury swojskiej i zagranicznej, między innymi znakomitą powieść **T. T. JEŻA**

USKOKI,

MAURycego MOCHNACKIEGO

O LITERATURZE POLSKIEJ XIX WIEKU.

Wybór pism **LUDWIKA SZTYRMERA** p. t.:

„**Powieści nieboszczyka pantofla**”,

PAWŁA BOURGETA p. t.:

CICHA WODA i inne.

Cena prenumeraty: W WARSZAWIE: Rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 kop. 50. NA PROWINCYI z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4 kop. 50, kwartalnie rb. 2 kop. 25. — Za odnośnienie do domu kop. 10 mies.

ADRES: **Krakowskie Przedmieście Nr. 17.**

SZKOŁA RYSUNKOWA DLA KOBIET

A. CONTI

Krakowskie Przedmieście № 9.

Rysunek i malarstwo, rzeźba, zdobnictwo, rysunki techniczne, kurs dla dzieci.

Kierunek obejmują: **A. Austen, M. Gerson—Dąbrowska, K. Jankowski, A. Jasiński, L. Łempicka, B. Maruszewski, M. Trzebiński i Wł. de Turquier.**

Szczegóły informacje udzielane są w lokalu szkoły.

III-ci rok wydawnictwa

Wychodzi dwa razy na miesiąc, objętości 96 — 112 str. wieł. form.

Biblijoteka Samokształcenia

Zawiera artykuły popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin nauki; w dziale książkowym: dzieła i studia obszerniejsze.

Wyszedł № 1. Zawiera: **Od redakcji** — St. Kucharskiego; **Nauka a natchnienie** — D-ra Piotra Chmielowskiego; **Pierwsza kartka historii religii** — Ign. Radlińskiego; **Eug. Dühring** — D-ra H. Höffdinga.

W dziale książkowym: **Wyższe wykształcenie kobiet, a współczesna nauka uniwersytecka** z dodaniem uwag **O zasadach przewodnich samokształcenia i samokierownictwa duchowego** — D-ra Eug. Dühringa.

Biblijoteka ogłosiła konkurs 500 rublowy dla prenumeratów na wybranie „złoty myśli” zawartych w dziełach wyszłych w Biblijotece. Termin 14-go Września. Komplet Biblij. Sam. z 1903 roku do nabycia jeszcze po cenie redakcyjnej.

Z roku 1902 komplety są już wyczerpane.

Pojedyncze książki do nabycia w księgarniach.

Prenumerata: rocznie 6 rb., półrocz. 3 rb., kwart. 1.50 rb.; z przesyłką: 8 rb., 4 rb., 2 rb.

Dla kształcącej się młodzieży 50 kop. miesięcz. w miejscu.

Redakcja: **NOWY-ŚWIAT 37.**

NOWOŚĆ!



Patentowane szczotki do zębów nowego systemu

D-ty Franciszka Zielińskiego

Skład główny: **Warszawa, Zgoda 4.** Handlującym odpowiedni rabat. Nabywać można we wszystkich aptekach, składach materiałów aptecznych, magazynach perfumeryj i galanterji.



**BIURO NAUCZYCIELSKIE
Z A Ł E S K I**

Berga Nr. 8.

Rekomenduje nauczycielki, nauczycieli, bony polki i niemki. Sprowadza francuzki z własnego biura w Paryżu.

NOWE POTNIKI

nie przepuszczające nie tylko potu lecz i wody gorącej **bez** odoru, dające się prać i prasować, **bez** gumy, z napisem „Corona A. Wodniakowski Warsaw”, jak również **Potniki z pęcherza rybiego** z napisem „Zephir” A. Wodniakowski; **Varsovie** oraz z gumy **jasnej** z napisem „America” oraz z napisem „Ursus” najtrwalsze i z gumy **ciemnej** z marką „A. W. K-o” poleca wyłącznie

Skład Wyrobów gumowych, kaloszy, cerat, zabawek i nowości

A. WODNIAKOWSKI

w Warszawie, **Marszałkowska 148.**

Uwaga. Żaden inny skład Warszawski pomienionych potników **nie** posiada.



Kwiaty balowe

kwiaty do koszy i żardinier

Girlandy ślubne

poleca w wielkim wyborze

Fabryka sztucznych kwiatów i liści

Władysława Różyckiego

Wspólna 44, róg **Marszałkowskiej.**

Zawiadomienie.

Z dniem dzisiejszym został przeniesiony z ulicy Ś-to Jer-skiej № 38 na ulicę **Długą № 50 (Pasaż Simon-se)** hurtowy skład **towarów jedwabnych** własnej fabryki i innych pierwszorzędných fabryk i jednocześnie otworzona została **sprzedaż detaliczna po cenach fabrycznych.**

DOM HANDLOWY

ELTERMAN JUNIOR